

wyborcza

KATARZYNA FIGURA

Piękno może być pułapką

– rozmowa Magdaleny Keler

Wolne i bezwstydne

MONIKA
TUTAK-GOLL



Już nie jestem blondynką. Znużona toksyczną męskością, zmęczona oczywistą seksualnością, znużona zatrzaśnięciem w szufladzie opisanej jako wielka seksowna blondyna, wbrew panującym trendom uznającym za seksowną tylko młodość wbijam szpilę w te idiotyzmy”.

Katarzyna Figura, wybitna polska aktorka, ogłosiła na Instagramie manifest. Skierowała go do kobiet, które tak jak ona mają dosyć nierealnych wizerunków w mediach społecznościowych, mają dosyć wyśrubowanych standardów, mają dosyć porównywania i spełniania cudzych oczekiwań. Katarzyna Figura obcięła włosy na jeża i ufarbowała je na niebiesko. Czemu? Bo pociąga ją błękit. Bo tym kolorem włosów daje wyraz znużeniu wszystkim, co stereotypowo kobiece i uznawane za seksualne. Pokazuje, że możemy być wolne, kiedy chcemy, że możemy żyć na własnych zasadach.

„Mój wiek nie ma znaczenia. Przynajmniej dla mnie, a jak ktoś ma problem, to żegnam, bo mam to w mojej wielkiej kształtnej pupie”. W znakomitej okładowej rozmowie z Magdaleną Keler Katarzyna Figura mówi więcej: że ciało jest wszystkim, a piękno bywa pułapką. Opowiada o tym mądrze i pięknie: „To, jak kształtuje się nasze ciało, jak się zmienia, jak je rzeźbimy – nie tylko na siłowni, ale też przeżyciami – odbija się na wyglądzie”.

Mamy dosyć nierealnych wizerunków i spełniania cudzych oczekiwań

Mam 45 lat, trochę zmarszczek, brzuch po trzech porodach i dosyć tego, że w mediach społecznościowych mamy wyglądać jednakowo. Jasne, też przepuszczalam swoje zdjęcia przez filtry, robiłam je trybem portretowym, ale patrzyłam na nie z lekkim zażenowaniem: no, ja jednak tak nie wyglądam. Szkoda, ale nie.

89 proc. polskich dziewczynek nie jest zadowolonych ze swojego wyglądu. I to dziewczynek w wieku 10 lat. Mamy jeden z najniższych poziomów samoakceptacji w Europie. Często myślę o tym, jaki świat zostawię córce. Nie chcę, by porównywała się

z nierealnymi wizerunkami, nie chcę, byśmy śrubowały standardy. Dlatego – razem z moimi koleżankami z redakcji – biorę udział w akcji „Świat bez filtra”. Ty też możesz do niej dołączyć, wstawić w mediach społecznościowych swoje zdjęcie bez retuszu, filtrów,

portret takiej, jaka jesteś naprawdę. Oznacz „Wysokie Obcasy” i dodaj hashtag #ŚwiatBezFiltra. Banalne? Dla wielu z nas uwalniające. A o to właśnie chodzi – byśmy jak Kasia Figura czuły się wreszcie bezwstydne i niezależne. ♦

Monika Tutak-Goll – dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów” i „Wysokich Obcasów Extra”



NOWE, WAKACYJNE „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

Świat bez filtra – czy jest możliwy?

Czy umiemy jeszcze pokazać, jakie i jacy jesteśmy naprawdę? 89 proc. polskich dziewczynek w wieku 10-11 lat nie jest zadowolonych ze swojego wyglądu. Dokąd doprowadzi ta presja? W tym numerze zastanawiamy się, czy możliwy jest świat bez filtra i zakłamywania rzeczywistości. Bohaterki naszych rozmów opowiadają o swoich ciałach, kompleksach, zmęczeniu, życiu wprost, bez fałszu. Z dystansem – jak Ola Żebrowska, ze szczerością – jak Maja Staško czy Orina Krajewska, z odwagą – jak Kasia Lins.

Magazyn dostępny również w wersji z prezentem: wydaniem specjalnym „Psychologia dla rodziców” lub książką.

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



@WysokieObcasy.pl



wysokieobcasy.pl

listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJA:

Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA

Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska

URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak

MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:

Marta Teresa Szamburska
GRAFICY:
Katarzyna Trzuszczkowska,
Marta Rozenbajgier,
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko

DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Woźniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Paweł Bajer,
Lukasz Irzyk,
Mariusz Rosa

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:

szeffowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk,
Anna J. Dudek, Magdalena Keler,
Agnieszka Mularczyk, Katarzyna
Seller, Magdalena Stroka-Felicka,
Paula Szewczyk, Natalia Waloch,
Joanna Wróżyńska

INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szeffowa serwisu
Aleksandra Mijakoska-Siemion,
Anna Woźniak

KOREKTA:
Małgorzata Mysłowska

SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:

Agora SA

PREZES ZARZĄDU:
Bartosz Hojka

WYDAWCA:
Agora SA

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTORKA BIURA REKLAMY:
Joanna Kwas
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Katarzyna Obidowska

DYREKTOR MARKETINGU:
Michał Bauer

SPECJALISTKI DS. PROMOCJI:

Adrianna Dobrzyńska, Sylwia Wójcik

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański

NAŚWIETLANIE I DRUK:
Agora SA Warszawa

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 66 00

Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega sobie
prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronie 40 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 31 (1250)

NA OKŁADCE:
KATARZYNA FIGURA
FOT. LUKASZ ZIĘTEK





Od sławy woli wymyślanie historii

ZACHWYT TYGODNIA

Anna Woźniak o Grecie Gerwig



Barbie”, film wyreżyserowany przez Gretę Gerwig, w weekend otwarcia zarobiła na świecie ponad 350 mln dol. To tegoroczny rekord, dodatkowo Gerwig stała się najbardziej dochodową reżyserką w historii. Żaden film wyreżyserowany przez kobietę nie zarobił takich pieniędzy. „Barbie” zachwycają się widzowie

i krytycy, podkreślając, że historia lalki, która wyrusza z Barbielandu do prawdziwego świata, jest wielowymiarowa, zaskakująca i daje do myślenia zarówno kobietom, jak i mężczyznom.

O tym, że istnieje osobna kategoria dla kobiet, świadczy to, że reżyserki w Stanach Zjednoczonych wciąż są postrzegane jako ktoś wyjątkowy.

W 2017 roku na liście stu najlepiej zarabiających filmów znalazło się osiem tytułów wyreżyserowanych przez kobiety – wynika z badań Uniwersytetu Południowej Kalifornii. Sukces Gerwig można więc rozpatrywać w trzech kategoriach.

1. Zachęci inne kobiety do próbowania swoich sił w reżyserii. 2. Przekona grubo ryby z wytwórni

filmowych do zatrudnienia reżyserek. 3. Gerwig stanie się gwiazdą reżyserii i będzie miała większy budżet i możliwości na kolejne produkcje. Z tą gwiazdą byłabym jednak ostrożna – Greta Gerwig od lat unika rozgłosu wokół swojej osoby. Od sławy woli wymyślanie historii (jest scenarzystką „Barbie”) i pracę za kamerą. ♦



Greta Gerwig – reżyserka, scenarzystka, aktorka. Prywatnie partnerka Noah Baumbacha, mama dwójki dzieci

Anna Woźniak – dziennikarka „Wysokich Obcasów”, pisze o dobrym życiu, rodzicielstwie i ludziach z pasją. Mama, partnerka, feministka

KATARZYNA FIGURA

Ciało jest *wszystkim*

Nie chcę już wpisywać się w żadne schematy. Niebieskie włosy to mój akt odwagi. By w końcu złamać stereotypowe myślenie innych o mnie



Z KATARZYŃĄ FIGURĄ
ROZMAWIA MAGDALENA KELER
ZDJĘCIA ŁUKASZ ZIĘTEK

j

„Już nie jestem blondynką. Znużona toksyczną męskością, zmęczona oczywistą seksualnością, znużona zatrzaśnięciem w szufladce opisanej jako wielka seksowna blondyna, wbrew panującym trendom uznającym za seksowną tylko młodość wbijam szpilę w te idiotyzmy” - wyznała pani na Instagramie. I pokazała się w nowej odsłonie: z niebieskimi, krótkimi włosami.

Identyfikuję się z morzem i oceanem, więc ten kolor jest po prostu mój. Ale niebieskie włosy zrodziły się trochę z przypadku. Zadzwoń do mnie Jaga Hupało, z którą przyjaźnię od ponad 20 lat, współtworzymy też często zawodowo postacie. Okazało się, że za jej pośrednictwem szuka mnie Agnieszka Szpila, która wymarzyła sobie, że przeczytam jej audiobook. I na zakończenie tej rozmowy Jaga powiedziała: „Kasia, wysłałam ci niebieską energię”. Byłam wtedy akurat tuż przed kolejną wizytą u fryzjera, włosy niesfornie sterczały mi już w każdą stronę, pomyślałam więc sobie: to może tym razem będą niebieskie?

Długo trwało, zanim doszliśmy z Jagą do idealnego odcienia. Próbowałyśmy całą gamę. Został ten, coś pomiędzy turkusem a kobaltem. I wie pani co? Szczerze mówiąc, nie interesuje mnie, jak przyjęła tę zmianę bardziej zachowawcza część odbiorców. Nie chcę już wpisywać się w żadne schematy. Te niebieskie włosy to dla mnie taki akt odwagi. By w końcu złamać stereotypowe myślenie innych o mnie.

Dotąd często skupione głównie wokół pani cielesności. Czym dla pani jest ciało?

Jest wszystkim.

Czymś cudownym, co zostało nam dane. Ciało jest naszym jedynym, najprawdziwszym miejscem. Jest skarbem. Miłością. Całością.

Całością?

Często o ciele mówi się „korpus”, tak jakby głowa funkcjonowała osobno. A ta głowa, ten mózg, który wysyła do każdej komórki sygnały - to wszystko składa się na jedną całość. Dzięki temu, że jest tak mądrze połączone, każdy z nas jest unikatowy i piękny na swój własny, indywidualny sposób.

Dla mnie nawet istotniejsze jest „ciało wewnętrzne” - ono nas definiuje, a nie powłoka cielesna. Eckhart Tolle we wspaniałej książce „Nie jesteś samotną wyspą”, która wszędzie ze mną jeździ, napisał: „Jeśli nie zrównujesz ciała z tym, kim jesteś, to gdy już jego piękno zblednie, nie wpłynie to w żaden sposób na twoje poczucie wartości czy tożsamości”.

Bo każdy z nas się przecież zestarzeje, to nieuchronne.

To, jak kształtuje się nasze ciało, jak się zmienia, jak je rzeźbimy - nie tylko na siłowni, ale też przeżyciami - odbija się na wyglądzie. I tak powinno być. Dzięki temu jesteśmy autentyczni.

I dla mnie piękni.

Tak. Ze wszystkimi swoimi skazami. Ciało jest piękne właśnie dlatego, że jest nieidealne. Dlatego dla mnie najpiękniejszym „ciałem” jest natura. Bo stamtąd pochodzimy, jesteśmy z nią nierozzerwalnie połączeni. I to, co zbieramy, idąc przez życie - blizny, skazy - to wszystko mieści się w pojęciu natury i naturalności. Dla mnie im bardziej ciało jest naturalne i prawdziwe - w rozumieniu takim, że odzwierciedla to, co przez lata przeżyliśmy - tym bardziej staje się interesujące.

A tymczasem gonimy za sztuczną, narzuconą przez współczesny świat estetyką. Gdzieś się w tym wszystkim pogubiliśmy.

Aktorki i aktorzy często ciało traktują bardzo przedmiotowo. Mówią: „To moje narzędzie”.

Oczywiście dla aktora czy aktorki to jest narzędzie. I ja też je tak traktuję. Już podczas studiów na Akademii Teatralnej kształtowałam ciało tak, aby było jak najbardziej sprawne i jak najpiękniejsze. W przerwach obiadowych wisiłam na drabinkach i się rozciągałam, żeby było jeszcze smuklejsze. Bardzo dbałam o to, żeby zdrowo jeść. Ale z drugiej strony w miarę upływu lat pracy coraz bardziej interesowało mnie ono nie w kategoriach estetyki, ale w kontekście psychologii, czyli budowania postaci. Kiedy dostaję scenariusz i wyobrażam sobie swoją postać, buduję ją w środku, wręcz hoduję. Nazwano mnie nawet kiedyś „aktorką roślinną”, bo zasadzam tę rolę w środku jak ziarno i pozwalam jej się rozrosnąć, wejść do mojego krwioobiegu. Ta postać używa mojego ciała, tworzę więc hybrydę - to, co widzowie zobaczą na scenie czy ekranie.

Żyje pani rolę także poza planem?

Wchodzę w nią całkowicie.

Opowiem pani historię, która najlepiej to wyjaśni. Zawsze marzyłam o zagranu u Romana Polańskiego. I kiedy zadzwonił do mnie z propozycją roli antysemitki w „Pianiście”, od razu się zgodziłam, choć wiedziałam, że mam do zagrania prawdziwego potwora. To rola epizodyczna, ale przez wielu uważana za punkt zwrotny filmu.

Przez kilka miesięcy pracy nad filmem ta moja scena ciągle spadała, nieustannie przekładano nagranie. Na plan zaproszono mnie w zasadzie pod sam koniec zdjęć. Ale dzięki temu miałam aż trzy miesiące na zbudowanie tej strasznej, mrocznej postaci. Sąsiadka Szpilmana to było czyste zło. Cały czas w sobie hodowałam tę kobietę. Pamiętam, że jak złapałam w tym czasie swoje odbicie w lustrze, sama siebie się przestraszyłam. Nietety, kiedy w końcu weszłam na plan, okazało się, że nie będzie mnie w zasadzie w tej scenie widać. Zebrałam się więc na odwagę i powiedziałam: „Roman, błagam cię, daj mi minutę chociaż, żebym ci pokazała, jaką postać stworzyłam”. I Roman się zgodził. Schowałam się za framugę mieszkania, skąd wychodziła moja postać, i wypuściłam tego potwora z siebie. Od razu przestawiono kamery tak, żebym była w tej scenie widoczna. A Adrien Brody był wręcz przekonany, że Roman znalazł naturzyczka, taką prawdziwą bestię. On się mnie autentycznie bał.

Ta postać weszła we mnie tak mocno, że kiedy po nagraniu poszłam się przebrać, poczułam, jak ta trucizna zaczyna ze mnie wychodzić. Z ledwością dotarłam do przyczepy, gdzie od razu wymiotowałam.

Bo tak właśnie działa ciało. Nie można go rozpatrywać w oderwaniu od głowy.

Powiedziała pani przed chwilą, że już w szkole starała się, aby ciało było jak najpiękniejsze. Sama sobie to pani narzuciła czy jednak czuła presję z zewnątrz?



Przez lata próbowano odebrać mi talent aktorski
– „piękna, więc niezdolna”



KATARZYNA FIGURA

– wybitna aktorka filmowa i teatralna, absolwentka warszawskiej PWST. Pracowała w Teatrze Współczesnym, Teatrze Polonia, Teatrze Dramatycznym w Warszawie, od 2013 r. jest w zespole Teatru Wybrzeże w Gdańsku. Zagrała m.in. w filmach Gruzy, Piwowarskiego, Kieślowskiego, Machulskiego, Wajdy, Altmana, Polańskiego. W teatrze grała m.in. u Englerta, Cywińskiej, Lupy, Miśkiewicza, Szumowskiej, Wiśniewskiego, Klaty. Laureatka kilkudziesięciu nagród, m.in. Złotych Lwów w Gdyni za „Ajlawju” Koterskiego i „Ubu król” Szulkina, nagrody filmowej Orły za film „Żurek” Brylskiego, a także Grand Prix w Kaliszu za tytułową rolę w spektaklu „Fedra” Wiśniewskiego

Raczej sama. Wiedziałam przecież, jak wyglądam, jak jestem zbudowana, jakie są moje dobre i gorsze strony. Poza tym wyrosłam na filmach z Ginią Lollobrigida, Sophią Loren, Claudią Cardinale, Jane Fondą, Brigitte Bardot i Marilyn Monroe. Kochałam je i podziwiałam. Także ich sylwetki i ciało. Chciałam być jak one, ale też dlatego, że to wspaniałe aktorki, wręcz wybitne. I nikt im talentu przez wzgląd na urodę do dziś nie odbiera.

Przylepiono pani jednak na lata etykietkę seksbomby.

Ja dość świadomie w tę rolę weszłam. Po prostu przeszłam nad tym do porządku dziennego.

Ale faktycznie to mogło – choć szczęśliwie tak się nie stało – wpłynąć na moją drogę zawodową. Zresztą krótko po tym, jak stałam się już znana, urodziłam syna, moja sylwetka bezpowrotnie się zmieniła. I wtedy usłyszałam: „O, Figura urodziła, to już po niej”. Ale pojawiła się akurat oferta stypendium w Paryżu. I to dało mi szansę rozwoju, uciekłam od tego chwilowego „porzucenia” w Polsce.

Wiele lat temu oglądałam panią w monodramie „Lustro” Grzegorza Skurskiego w krakowskim Teatrze Stu. Wychodząc z teatru, słyszałam głosy: „No proszę, ta Figura to jednak coś potrafi zagrać”.

Niestety, takie głosy też się przewijały. Przez lata próbowano odebrać mi talent aktorski – „piękna, więc niezdolna”. Nie mia-

końca. Ale znowu, to nie jest pułapka zewnętrzna, to wszystko idzie ze środka, z myślenia, jak mogę innych usatysfakcjonować. To zaspokajanie gustów innych ludzi, nie własnych.

Mówi się, że starość się Panu Bogu nie udała. No nie do końca tak jest, bo jeżeli człowiek żyje świadomie i cały czas się rozwija – a to powinno być sensem naszego życia – to starość powinna być spełnieniem.

Te osoby, które wpadają w pułapkę młodości, obsesję piękna, to osoby, które swego ciała nie widzą jako jedności?

Nie czują go. Utożsamiają je tylko z zewnętrzną powłoką.

Trochę trudno mi uwierzyć, że przez lata nikt nie próbował pani jednak trochę zmienić.

Pojawiały się niekiedy sugestie, że muszę schudnąć. I ja nawet próbowałam, ale nie udawało mi się. Pamiętam, jak przygotowywałam się do „7 uczuć” Marka Koterskiego. Ten film jest tak skonstruowany, że dorośli grają nastolatków. Chciałam więc tę dziewczęcość uzyskać, ale im bardziej się starałam, tym robiłam się większa. Moją matkę grała przepiękna Joasia Kulig, a ja zostałam w tej roli otyłą, pogubioną dziewczynką. I to niesamowite, że ta kreacja wyszła właśnie w taki naturalny sposób. Widocznie byłam tak zaprogramowana, że nie potrafiłam swojego ciała do tej roli zmienić.

Występując w Paryżu, usłyszałam, że mam zbyt masywne ramiona. W jednej ze scen stałam tyłem do publiczności i uznano,

Nie zgodziłam się przejść na dietę i doszło do końca współpracy

łam jednak zamiaru się tym przejmować. Doskonała w mojej opinii aktorka Kristen Stewart powiedziała: „Jestem, jaka jestem, a nie taka, jak mnie widzą inni”. I ja się pod tym podpisuję. Nawet jeśli tymi innymi miałyby być – jak przed laty – cała Polska.

Wielu zakłada, że osobom atrakcyjnym jest łatwiej.

Piękno może stać się pułapką. Kobiety w nią, niestety, często wpadają. Usta wciąż są za małe, piersi niekształtne, to nie ma-

że nie mam wystarczająco smukłej szyi, że za dużo mi się zbiera w okolicach karku. A byłam wtedy naprawdę szczupłą dziewczyną. Nie zgodziłam się przejść na dietę i doszło do końca współpracy.

Może jestem szczęściarą, że w przeważającej większości reżyserzy przyjmowali mnie taką, jaka byłam, nie zmieniając na siłę mojej aparycji na potrzebę ról. Że to moje ciało pomimo zmian, jakich doświadczało, było do kolejnych ról akceptowane. I reżyserzy często wracali do mnie, tak jak Julek Machulski czy Radek Pi-

wowarski. Choć akurat Radek powiedział mi ciekawą rzecz, gdy nasz wspólny film „Autoportret z kochanką” nie odniósł spodziewanego sukcesu. „Oni wciąż chcą cię taką, jaka byłaś w »Pociągu do Hollywood«, a nie o dziesięć lat starszą” – stwierdził. A tymczasem ja uważam, że w „Autoportrecie...” byłam przepiękna.

Wyjeżdża pani na międzynarodowy festiwal teatralny do Budapesztu ze spektaklem „Trojanki” w reż. Jana Klaty. Gra tam pani Helenę Trojańską zwaną najpiękniejszą kobietą swoich czasów. Ponadczasowa sztuka. O tym, jak są traktowane kobiety, ale też o absurdzie wojny, o tym, jakimi ludziami potrafią być egoistami, pchając nasz świat ku katastrofie. Spektakl kończy się epilogiem, który w oryginale był radosny. Od wybuchu wojny w Ukrainie przestaliśmy go grać. Ale za wojnę tak naprawdę obwiniana jest właśnie moja postać Heleny. I to zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn. Jest pogardzana, wydana na śmierć przez wszystkich. „Sprzedano mnie za piękno, pohańbiono, choć winnam mieć za to wieniec na głowie” – tak mówi w jednej ze scen.

Znowu to kobieta jest winna. Eurypides napisał tę sztukę 400 lat p.n.e., a te mechanizmy do dziś się nie zmieniły. Jako ludzie nie dążymy do naturalnego stanu współistnienia, szczęścia.

Chyba nie przyjmujemy tego szczęścia. Tak po prostu. Wciąż nam mało.

Człowiek nie potrafi być szczęśliwy. Pędzimy w dzikim, często bezmyślnym stadzie.

Szukanie radości życia w każdej, najmniejszej chwili – o tym moim zdaniem człowiek zapominał. Kombinujemy, manipulujemy. Kobiety nieustannie się porównują. A w porównywaniu wpisana jest ocena. Na własne życzenie obniżamy tym samym swoje możliwości. Przecież nawet ja, jeszcze w szkole teatralnej i kochając to moje ciało, jednak próbowałam je ulepszać. Bo chciałam zostać aktorką światową, a żeby się tak stało, musiałam maksymalnie wykorzystać potencjał swojej fizyczności.

Do stanu szczęścia często nie dochodzimy, bo cały czas rozpamiętujemy, co było. Zastanawiamy się, co mogliśmy zrobić lepiej, inaczej.

Tylko że ta przeszłość istnieje już tylko we wspomnieniu. Nie rozpamiętuję więc, co by było, gdybym zagrała u Altmana główną rolę, przecież ja już tego teraz nie zmienię. To się stało.

Wszelki rodzaj sentymentalizmu jest mi obcy, wymiatam go z siebie. I w życiu osobistym, i w swoich kreacjach aktorskich. Sentymentalizm to pułapka naszego umysłu. Najważniejszy jest ten jeden krok tu i teraz. To on decyduje o tym, na jaką ścieżkę wejdziemy i dokąd nas zaprowadzi, i być może to wcale nie będzie ten plan, który wcześniej sobie misternie ułożyliśmy.

I nigdy nie żałowała pani odrzucenia propozycji od amerykańskiego „Playboya”?

To był 1988 rok. Byłam w Stanach po raz pierwszy, pojechałam na międzynarodowym festiwal pokazać „Pociąg do Hollywood”. Parę miesięcy wcześniej urodziłam syna, przed wyjazdem odstawiłam go od piersi. Miałam więc ogromny biust, a przy tym byłam wtedy bardzo szczupła. Fotografka z „Playboya” zobaczyła film, oszalała na moim punkcie i zaproponowała mi sesję na brzegu morza. Miałam być niby nago, ale lekko zakryta, koncepcja była piękna. Zaproponowano mi za pozowanie 9 tys. dolarów, co wówczas było sumą ogromną. Ale Piotrek Sienkiewicz, mój przyjaciel i kolega z planu „Pociągu...”, uznał, że jednak będzie w moim imieniu negocjował. I ku mojemu zaskoczeniu następnego dnia zadzwonił do mnie prezydent festiwalu i powiedział, że skontaktowała się z nim redakcja „Playboya”, że koniecznie mnie chcą i dają mi 40 tys. dolarów! Dla mnie to był szok.

Niewyobrażalne wręcz pieniądze, nawet dziś to przecież ogromna kwota. Wpadłam w panikę.

Dlaczego? Każdy by chyba taką sumę przygarnął.

W Polsce nie było wtedy jeszcze tego typu pisma. I pierwszą moją myślą było: co ja powiem mamie, rodzinie? Że skąd ja mam te pieniądze? Jak to pogodzić z aktorstwem? Byłam tak przerażona, że zadzwoniłam na lotnisko z pytaniem, jak mogę się najszybciej dostać do Polski. I uciekłam. Nie potrafiłam temu wtedy sprostać. Nie poszłam nawet na umówione spotkanie z redakcją.

Zdarzało mi się potem o tej propozycji myśleć. Ale tak widać miało być.

Rozmawiamy i pani cały czas się tak cudownie śmieje, bije z pani spokoj. Tę radość wewnętrzną miała pani zawsze w sobie?

Miałam, ale próbowano ją we mnie zdusić. Głównie robili to mężczyźni, ale były też na mojej drodze przemocowane kobiety. Chciano mnie zniszczyć przez obniżenie mojego poczucia wartości. Przez ponad dziesięć lat niszczył mnie w ten sposób mój były mąż.

W życiu zawodowym też się tak działo?

Trzy razy próbowano zamknąć mi drogę do dalszego grania.

Na drugim roku studiów dostałam propozycję zagrania narkomanki. Nie chciałam tej roli, bo ta postać była tak przedstawiona, jakbyśmy my, kobiety, nie były nic warte, można na nas napluć, podeptać. Odmówiłam więc. Groziło mi przez to wyrzucenie ze szkoły, usłyszałam: „Jak śmiesz odmawiać wielkiemu reżyserowi! Już nigdy nie zagrasz w polskim filmie”. A pamiętajmy, że były to czasy komuny, wczesne lata 80., więc w tle był też aparat państwowy. Na szczęście groźby nie zrealizowano. W szkole zostałam, a rok później zagrałam w „Przeznaczeniu” Jacka Koprowicza.

Druga sytuacja się zdarzyła, kiedy pojawiła się możliwość odbycia stypendium w Paryżu. Wtedy usłyszałam, że jeżeli wyjadę, to już nigdy nie wrócę na polską scenę. „Lustro”, o którym pani wspomniała, jest najlepszym dowodem, że i ta groźba się nie spełniła.

Trzecia historia dosięgła mnie aż w Stanach Zjednoczonych. Po Altmanie agencja, która mnie prowadziła, chciała kuć żelazo, póki gorące. Wysłano moje CV do znanej agentki, takiej królowej castingów w Hollywood. Miałam zagrać w filmie z Sylwestrem Stallone, który wtedy był moim idolem. Bardzo się na ten projekt cieszyłam, bo to był film akcji, więc na coś przydałoby się to moje wiszenie na studiach na drabinkach. Niestety, Dana podeszła do mnie z ogromnym uprzedzeniem. Założyła, że skoro pochodzę z Polski, to jestem antysemitką. I zrobiła się złośliwa. Spytała, dlaczego wysłałam z CV zdjęcia z rozczochranymi włosami, po czym nagle zadała pytanie: „A dlaczego masz takie ładne zęby?”. Bo ona sobie wyobrażała, że skoro jestem z Polski, to będę zabiedzona. Nie wiedziałam nawet, jak jej odpowiadać. I nagle zaczęła do mnie mówić po hebrajsku. Poniżyła mnie i upokorzyła. Roli nie dostałam.

Dziś, po ponad 30 latach pracy w zawodzie, czuje się pani ikoną? Tak.

Liczyłam na taką szczerą odpowiedź.

Nie mogę zdradzić szczegółów, ale rodzi się pewien projekt. Ponieważ dość długo to już trwa, zaczęłam się obawiać, że wybrano inną aktorkę. Bardziej... normalną. Zadzwoniłam w końcu z tą wątpliwością do reżysera, z takim drzeniem, że może nie powinienam o to pytać, bo sprawa przesądzona. Wiedziałam też, że jest dużo aktorek, które mogłyby tę rolę równie dobrze zagrać. Ale on mi powiedział: „W tym filmie to ikona musi zagrać ikonę”. ♦

Zaszalałam

Przed pójściem spać zdejmuję fioletową nogę i wstawia do garderoby razem z ubraniami. Kiedy jest zmęczona, zostawia ją na podłodze obok łóżka, jak skarpetkę

TEKST PAULA SZEWCZYK

Nie ma z wczesnego dzieciństwa wspomnień. Wie tyle, ile opowiedzieli jej rodzice, a mówili niechętnie. Przecież chcieli tylko córkę ratować. Mieli obiecać, że do przedszkola pójdzie o własnych nóżkach.

ZA KRÓTKA

Jej lewa noga była krótsza od prawej, szczególnie udo, a stopa ustawiała się pionowo jak u baletnicy w tańcu. Bo Ania urodziła się z wadą rozwojową. Rodzice dostali zalecenie, by wkładać stopę córki w but ortopedyczny. Śmieszny taki, wielki, paskudny. Ortopeda zaproponował, by nogi dziewczynki wyrównać popularną wtedy metodą wydłużania kości. Owszem, dość inwazyjna, ale z szansą na poprawę.

Kość udową w czasie operacji celowo złamano na dwie części i wprowadzono w nie pary śrub. Zadaniem rodziców było ich codzienne podkręcanie korbką, tak by milimetr po milimetrze rozciągać nogę od wewnątrz. Ból dla dziecka potworny. Tylko że wydłużanie spowodowało zwichnięcie po lewej stronie zdrowego wcześniej stawu biodrowego. Kość została dosłownie poza staw wypchnięta. Zmiana planów - trzeba było ratować biodro, kolejna operacja. Przez 14 tygodni dziewczynka leżała w gipsie od pasa w dół, a tu lato, upał. Pamięta tylko, jak bawiła się w łóżku lalką Barbie z syrenim ogonem, którą dostała od babci. Wyobrażała sobie, że kiedyś też będzie taka piękna jak ta syrenka.

Po zabiegu staw nie zregenerował się na tyle, by udo móc dalej wydłużać. Nie zapomni, jak jeden z ortopedów po kolejnej wizycie poklepał ją po krótszej nodze, mówiąc: „No, już nic nie zrobimy”. Ogarnęła ją panika: mam iść do domu z tą zdeformowaną nogą i co, dalej nic? Może jedynie cud.

ZA KRUCHA

- Miałam długi okres w życiu, kiedy skupałam się na tym, czego nie mam. Moja noga nigdy nie wyglądała jak noga zdrowa.

Byłam zgorzkniała w środku, chociaż nie było tego widać. Na zewnątrz uśmiechnięta, reszta ukryta pod spodniami. Chyba nikt nie zdawał sobie sprawy, jak to poważna dla mnie sprawa - opowiada 36-letnia Anna Klecha, zajmująca się doradztwem biznesowym, z wykształcenia anglistka i psycholingwistka, w mediach społecznościowych znana jako Dziewczyna z Fioletową Nogą.

Bo od początku różniła się od rówieśników. W Woli Miłkowskiej w województwie łódzkim większość rodzin miała po dwoje, troje dzieci. Ona była jedynaczką. Gdy zbliżał się moment pójścia do szkoły, rodzice byli w kropce. Bali się, że biegające po korytarzach dzieci mogą na Anię przypadkiem wpaść. Albo sama się przewróci, schodząc ze schodów, dojdą jej nowe urazy. Nie puścili jej. Do piątej klasy uczyła się w domu. Sama na lekcjach z nauczycielami, sama po lekcjach, sama w weekendy.

Gdy szła do szkoły, miała już ortoprotezę, w którą wkładała krótszą nogę, by móc poruszać się na obu. Coś jak uzupełnienie nogi, szyna będąca jej przedłużeniem, za-

*Przez 14 tygodni
dziewczynka leżała
w gipsie od pasa w dół,
a tu lato, upał*

kończona sztuczną stopą. Jedyne sposoby poruszania się, jaki wtedy знаła, to chodzenie o kuli na sztywnej protezie. Była na tyle drobna, że mogła założyć na nią szersze spodnie bojówki, a na sztuczną stopę zwykajny sportowy but. Udało się jej ukryć to, co chciała pozostawić niewidoczne. Tylko po jej ruchach można było poznać, że chodzi nieco inaczej niż reszta dzieci. Dlatego niektóre zaczęły mówić, że udaje, że ma coś z nogą, by nauczyciele się nad nią litowali, dawali jej lepsze oceny. Wcześniej w domu pewnie pozwalali takiej biednej, chorej ściągać. To akurat zabawne, bo tego nauczyła się

dopiero w szkole. Wcześniej nie wiedziała, że tak w ogóle można.

„Ani od litowania” trudno było w grupie. Każdy już się z kimś trzymał, klasa była zżyta. Niektórzy uważali zresztą, że jest zarozumiała. Wszystkie lektury ma przeczytane, nawet te nieobowiązkowe, „popisuje się”, myśleli. A ona uczyła się dobrze, bo nic innego nie miała do roboty. Książki były ucieczką do lepszego świata. Dopiero w liceum w Sieradzu, 30 km od domu, gdzie nikt jej nie znał, relacje mogła zacząć budować od nowa.

ZA DZIWNA

Ze zdziwieniem wspomina, że jako dziewczynka nie miała w sobie wstydu. Pokazywała swoją krótszą nogę bez mrugnięcia okiem, kiedy ktoś ją o to prosił. Aż rodzice musieli jej to wyperswadować, bo na wsi niektórzy lubili gadać. Nie rozumiała, w czym problem, dopóki nie zaczęła dojrzywać. Dla nastolatki jej noga stawała się tematem tabu. Unikała rozmów o niej, nie pozwalała się dotknąć. Jeśli pojawiał się zainteresowanie ze strony chłopaków, uciekała. Przerażała ją myśl, że gdyby tak jak koleżanki chciała usiąść któremuś na kolanach, a on wyczułby, że ma pod nogawką twardą protezę, wysmiałby ją, a ona by tego nie przeżyła.

Pierwszy związek? Późno, bo pod koniec studiów. Wcześniej tylko krótkie znajomości; kończyła je sama przekonana, że druga osoba jej nie zaakceptuje. Że w związku zawsze będzie gorszą połową.

Pamięta, jak się rozbierała, gdy szła się umyć, patrzyła na swoje ciało i czuła złość. Nie cierpiała tej swojej dziwnej nogi, marzyła, żeby była jak inne, zdrowe. W intymnych sytuacjach, zamiast myśleć o przyjemności, denerwowała się, czy jej noga na pewno jest zakryta kołdrą.

Długo trwało, nim pogodziła się, że lekarze jej nie zrekonstruują. Zaczęła rozumieć, że cudów nie ma. Że medycyna za jej życia, a przynajmniej za jej młodości, nie zrobi z niej osoby pełnosprawnej. Stała przed decyzją: albo zostaje z tym, co ma, albo przesiada się na inną protezę. Nie wiedziała tylko, czy na tej nowej nauczy się chodzić. Bo zostawało przecież jeszcze jedno wyjście - amputacja.





NFZ nie dofinansowałby takiego zabiegu. Trzy - skoro był to wybór, mogła się do amputacji przygotować. Choć to dobre pytanie: czy można tak naprawdę przygotować się na świadome i dobrowolne pozbycie się kawałka swojego ciała?

- To chyba jedna z najdziwniejszych rzeczy, jaką można sobie zrobić!

ZA LUŻNA, ZA CIASNA

Przez brak zaufania do polskiej służby zdrowia po nieudanych operacjach brała pod uwagę tylko kliniki za granicą. Operację zrobiła w Bostonie, pomogło ubezpieczenie z amerykańskiej korporacji, w której wtedy pracowała.

Noga Anny była krótsza o 30 cm, amputowano jej więc niewiele: stopę i łydkę. To wystarczyło, by zrobić miejsce na kolano w protezie. Pamięta, jak po zabiegu z nową, zginającą się protezą usiadła u protetyka na krześle i postawiła obie stopy obok siebie. - Zrobiłam to pierwszy raz w życiu. Taka prozaiczna rzecz dla mnie była przełomowa! - wspomina.

Jasne, że były problemy, by dopasować odpowiednią protezę.

Jedna była za luźna, kolejna za ciasna. Rodzina nie bardzo rozumiała, czemu narzeka, czemu chce czasem nową nogę wyrzucić za okno. - Ja też wyobrażałam sobie, że cokolwiek mi dadzą po czymś tak prymitywnym jak tamte ortoprotezy, będzie raj. To jak nagle przesiąść się z malucha za 5,5 tys. zł do mercedesa wartego 150 tys., musi być pięknie. Ale nie było. Zadawałam sobie pytanie, czy zrobiłam sobie krzywdę. Samo siedzenie w protezie było bolesne, a na litość boską, miałam przecież chodzić!

Ale wreszcie gdy stała przed lustrem, czuła, że to, co widzi, się jej po prostu podobają. Miała wręcz do siebie pretensję, dlaczego nie zrobiła tego wcześniej.

W SAM RAZ

Anna na szczęście jest drobna (50 kg), więc i jej proteza jest lekka, „tylko” 4,5 kg, poniżej

standardowej wagi. Nosi też proste, nieelektroniczne kolano, to kolejny kilogram mniej. Stopę ma teraz z regulacją, tylko kilka jest takich na rynku.

- Mam taki czarny guziczek tutaj - mówi Ania i pokazuje ręką przy nodze. Ale dzieli nas blat, nie widzę, gdzie kładzie dłoń.

- Czy mogę podejść i zajrzeć pod stół, czy to absolutne faux pas?

- Możesz, jasne! Odsunę się, żebyś widziała. To jest właśnie taka stopa, jest super. Wciskam sobie guziczek przy kostce i robi to - stopa Ani w balerince się podwyższa. - Zwykła stopa protezowa takiego mechanizmu nie ma. Moją reguluje się do różnych wysokości, maksymalnie mogę założyć siedmiocentymetrowe obcasy. Czy noszę? Na cienkiej szpilce nie chodziłam, może spróbuję najpierw w domu na dywanie. Ale wychodziłam już w grubszych obcasach i koturnach, głównie na randkę czy do kina, kiedy nie musiałam pokonywać dużych odległości.

- A to do czego służy? - pytam o część w miejscu, w którym w zdrowa stopa się kończy, a zaczyna kostka i noga.

- To rotator. Jak w coś wdepnę, pobrudzę but albo chcę zawiązać sznurówki, wciskam to i obracam łydkę dookoła swojej osi - Ania włącza mechanizm, a ten, wydając niemal niesłyszalny dźwięk, przekręca w kilka sekund stopą tak, że teraz przód buta jest z tyłu, a pięta z przodu.

- Całość sięga tutaj - pokazuje okolice pachwiny i mówi, że przed założeniem protezy na udo wciąga silikonowy rękaw, który wygląda trochę jak wielkie dildo, żartuje. Dobrze naciągnięty na skórę chroni ją przed otarciami. Tak zabezpieczone udo wsuwa w twardą część protezy. Z zewnątrz rękawa są uszczelki, które przytrzymują cały mechanizm. Czasem na to wszystko nakłada jeszcze rajstopy, w których ucina lewą nogawkę, bo źle układają się na protezie. Lubi cienkie, im mniej warstw tym wygodniej.

- Czy jakoś konkretnie na nią mówię? Nazwałam ją właśnie „fioletową nogą”. Zawsze lubiłam fiolet, świecące brokatowe rzeczy, pomyślałam: a zaszalej!

Przed pójściem spać zdejmuje fioletową nogę, wstawia do garderoby razem z innymi ubraniami. Bywa, że kiedy jest zmęczona, kładzie ją na podłodze byle gdzie, jak skarpetkę. Kiedy musi w nocy iść do łazienki, nie zabiera jej ze sobą, idzie o kulach. Na-

ZA DUŻA

- Nie chciałam już czekać, bo nie było na co. Stwierdziłam: dobra, zrobię, co mogę, na co pozwala mi technologia. Skoro do końca życia miałam mieć protezę, wołałam jak najlepszą.

Po latach walk z myślami, wertowania sieci i liczenia kosztów jako 31-latką była już na amputację zdecydowana. Oczywiście, istniało ryzyko, że się nie uda. Że po zabiegu nie da się jej dobrze zaprotezować i będzie się poruszać o kulach, ale musiała spróbować.

Jej amputacja była zresztą „inna”. Raz - bo Anna sama ją wybrała. Dostyc miała bycia nieszczęśliwą młodą dziewczyną. Skoro są protezy, które pozwalają ludziom biegać, czemu miała ciągle chodzić na tej sztywnej nodze, z którą nie mogła się nawet zmieścić w fotelu w kinie? Dwa - nie była to amputacja ratująca życie, nie przeprowadzano jej w związku z nagłą stratą zdrowej kończyny.

OGŁOSZENIA



„Wysokie Obcasy” od 2020 roku realizują projekt #Nieustraszona w pracy. Podkreślamy w nim, jak ważne są odwaga, siła, konsekwencja i wspieranie się kobiet, które wciąż muszą walczyć o to, by na rynku pracy traktowano je na równi z mężczyznami. W tegorocznej odsłonie pokażemy m.in. kobiecą perspektywę w tzw. męskich zawodach. Powołamy kapitułę, która wybierze Nieustraszoną w Pracy 2023. Swoje głos będą mieli również czytelnicy. Zwieńczeniem akcji będzie uroczysta gala i wręczenie nagród. Więcej szczegółów pod adresem: [Wysokieobcasy.pl/nieustraszonawpracy](https://wysokieobcasy.pl/nieustraszonawpracy)

ORGANIZATORZY:
wysokieobcasy.pl
instytut
dobrego życia

PARTNER
STRATEGICZNY:
STATE STREET
PARTNER:
SKODA

wet przy partnerze się nie wstydzi. Przestała wreszcie mieć poczucie, że przez niepełnosprawność zasługuje w związku na mniej.

A NAWET SEXY

- Kiedy zniknęło to zgorzknienie? Stopniowo, już po amputacji coś w głowie zaczęło mi przeskakiwać. Najpierw zniknął lęk, co ktoś o mnie pomyśli. Potem - wstyd, że ktoś zobaczy mnie w protezie - wylicza Ania i samą ją dziwi to, że mentalność ofiary, która zawsze będzie miała gorzej, zamieniła z czasem na tak otwarte wyjście do ludzi.

Wcześniej nie do pomyslenia było wrzucanie swoich zdjęć na Instagramie, dziś jako Dziewczyna z Fioletową Nogą robi to z przyjemnością. Skupia się na tym, co dobre. Konto założyła z wdzięczności do losu. I z poczucia, że może tym, którzy przechodzą teraz przez to, co ona kiedyś, będzie łatwiej.

Gdy tracisz nogę, stajesz przed ścianą spraw, o których nie miałaś dotąd pojęcia. A musisz się ich nauczyć, żeby jakoś iść do przodu. Dokumenty, papierologia, bieganie po dofinansowania, załatwianie orzeczeń. Nie ma urzędu, pośrednika, nikogo, do kogo możesz zwrócić się z prośbą o pomoc. Po operacji jesteś wysyłana do domu ze zleceniem na protezę, z kulami czy wózkiem inwalidzkim. Tyle. Reszty dowiesz się na własną rękę, jak sobie informacji poszukasz.

- Przerabiałam to, chętnie dzielę się wiedzą - mówi.

Z czasem zauważyła, że to, co pisze, jest ważne, szczególnie dla kobiet, które wcześniej były sprawne, a po amputacji na nowo muszą zbudować w sobie kobiecość. Piszą do niej, jak się czują ze sobą, swoim ciałem, fizycznością. - Ten aspekt na wizytach, w ro-

MONIKA JANKOWSKA-RANGELOV

EMEA HEAD INCLUSION DIVERSITY & EQUITY, VICE PRESIDENT W STATE STREET

Zaledwie jedna trzecia osób z niepełnosprawnościami w wieku produkcyjnym podejmuje pracę. To przyczynia się do postrzegania tej grupy społecznej jako pasywnej i opierającej się wyłącznie na systemie wsparcia społecznego. A to brak rozwiązań systemowych zniechęca wiele rodzin do podjęcia zatrudnienia. Obawiają się, że po prostu utracą świadczenia. Powodem jest też lęk przed narażeniem się na dyskryminację w czasie rekrutacji, przed nieznaną sytuacją i potencjalnymi barierami.

Wiele osób z niepełnosprawnościami ma też niskie poczucie własnej wartości wynikające z pozbawienia wsparcia na drodze edukacji czy aktywizacji. Słaby dostęp do profesjonalnego poradnictwa zawodowego, które badałoby kompetencje i potencjał danej osoby, brak wsparcia doradczego, psychologicznego i ograniczone możliwości podnoszenia kwalifikacji (szczególnie w mniejszych miastach) utrudniają osobom z niepełnosprawnościami podjęcie decyzji o szukaniu pracy.

Z kolei wielu pracodawców, którzy nie mieli wcześniej kontaktu z pracownikami z niepełnosprawnościami, obawia się potencjalnych trudności: zarówno nieprzystosowania stanowisk, ryzyka kontroli, jak i nieefektywności pracownika. Z tymi barierami można jednak sobie łatwo poradzić przy wsparciu organizacji pozarządowych oferujących swoje wsparcie. Przy pełnej sprawności intelektualnej osoby z niepełnosprawnościami fizycznymi mogłyby funkcjonować na otwartym rynku pracy o wiele częściej, niż to ma miejsce w rzeczywistości. Niestety, wiele ofert pracy skierowanych do osób z niepełnosprawnościami często ogranicza się np. tylko do produkcji chałupniczej, sprzątnia, ochrony czy utrzymania porządku. Brakuje ofert na stanowiska administracyjne, do obsługi dokumentacji, sekretariatu, klienta czy recepcji lub na posadę informatyka. Wciąż w naszym społeczeństwie pokutuje przeświadczenie, że osoby z różnymi ograniczeniami nie są mile widziane w przestrzeni publicznej.

A jeżeli patrzylibyśmy na każdą napotkaną osobę po prostu, jak na drugiego człowieka, to moglibyśmy dostrzec ogromny potencjał. Bo wiele stanowisk pracy nie wymaga żadnego dostosowania, a włączanie osób z niepełnosprawnościami do firmy jest tak samo naturalne jak zatrudnianie na równych prawach utalentowanych kobiet i mężczyzn.

dzinie, otoczeniu zwykle się pomija. A przecież nadal z niepełnosprawnością chcemy być atrakcyjne. Ja kocham sukienki, kocham buty. Nie nosiłam tego, co bym chciała, przez 30 lat! Brzydkie ortopedyczne buciory mogłam wreszcie zamienić na piękne kobiece buty, o jakich marzyłam, i widzę po sobie, że dało mi to poczucie sprawczości, też w kwestii wyglądu. Bo o to chodzi w tym całym pokazywaniu fioletowej nogi: budowanie poczucia własnej wartości, przekona-

nie, że proteza nie zabiera kobiecości, a osoba z niepełnosprawnością ma prawo wyglądać tak, jak chce.

Dlatego Ania myśli teraz o warsztatach dla kobiet po amputacji nóg. By je wzmocnić, pokazać, że może chociaż coś się skończyło, nie musi oznaczać, że nie wróci. Przecież wie, co mówi. Sama latami tkwiła w świecie szaroburych szerokich spodni.

- I tę moją stopę bym chciała jeszcze kobietom pokazać. Prawda, że świetna?! ♦

OGŁOSZENIA

UWAGA, KONKURS!

Podaj swoje sprawdzone sposoby na regularne picie wody

i wprowadzenie rutyny picia wody.

Konkurs trwa od 1 do 15 sierpnia. Żeby wziąć w nim udział, należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie www.wysokieobcasy.pl/naturalniewoda/konkurs

NAGRODY



1 x Filtr kuchenny **AQUAPHOR ECO H PRO**



4 x zestaw Dzbaneq filtrujący **AQUAPHOR Onyx** + Butelka filtrująca **AQUAPHOR City**

naturalnie **WODA**

PARTNER KONKURSU
AQUAPHOR
water filters

Życie na pauzie

Ukrainki nie mają komu opowiedzieć swojego nowego życia. Wychodzi na to, że miliony kobiet nie mają głosu. Sestry są dla nich i o nich

Z REDAKTORKĄ NACZELNĄ MAGAZYNU
SESTRY MARIĄ GÓRSKĄ
ROZMAWIA DOROTA WODECKA

MARIA GÓRSKA: Spisałam wczoraj w nocy cały zeszyt, by nie zapomnieć powiedzieć ci o wszystkim, co ważne, ale dziś prawie niczego nie mogę odczytać.

Nie spałaś?

Nie śpiemy przez alarmy przeciwlotnicze.

Przecież od roku mieszkasz pod Warszawą.

Tak, ale mam aktywną aplikację w telefonie. Pierwszej nocy w Polsce obudził nas alarm we Lwowie. O Boże, zbieramy się, do schronu, pomyślałam i dopiero po chwili dotarło do mnie, gdzie jestem.

Dlaczego jej nie usuniesz?

Bo chcę wiedzieć, co się dzieje w moim kraju. Kiedy dzwoni, a dzwoni bardzo głośno, piszę do mamy: „Zejdź do schronu”. I to samo do taty. Czekam, czy moje miasto przetrwa, czy coś nie trafi w dom mamy, taty albo w mieszkanie dzieci ze szkoły mojej córki. Nie ja jedna żyję według tego nocnego zegara. Mnóstwo uchodźczyń z Ukrainy budzi się, kiedy na ich bliskich lecą rakiety lub drony. I wtedy są z nimi na WhatsAppie lub Telegramie. Nie śpią. Czuwają.

Twoi bliscy zostali w Kijowie?

Tak. Mama pracuje w Operze Narodowej, jest wiceszefową działu oświetlenia sceny. Tata, Wołodmyr Petraniuk, prowadzi teatr, grają mimo wojny spektakle o Szewczenko i Mazepie. Za każdym razem przy pełnej sali. W latach 90. Piotr Skrzynecki zaprosił jego Teatr Zwierciadło do Krakowa. Przez jakiś czas występowali ze swoim kabaretem w Piwnicy pod Baranami, a później już niezależnie jako Ukraiński Teatr Muzyczny w Krakowie. W krakowskiej knajpie Chimera jest ogromny mural z teatrem taty.

Stąd znasz język polski?

Tak. W dzieciństwie przyjeżdżałam do niego w każde wakacje. Nie miałam kieszonkowego, dlatego już pierwszego lata włożyłam teatralny strój i pognąłam na rolkach do Rynku, gdzie rozłożyłam się ze skrzypcami i przez

dwie godziny grałam dla turystów. W miesiąc zarabiałam lepsze pieniądze niż rodzice i byłam szczęśliwa, że mogę dokładać się do naszego budżetu. Czułam się odpowiedzialna za rodzinę, tę kijowską, którą była mama i ja, i krakowską z tatą i moją przyrodnią siostrą.

W drugie lato, kiedy przyjechałam do Krakowa, tato oznajmił mi, że jedzie ze swoim teatrem na miesiąc do Francji, a ja w tym czasie pojedę z siostrą do rodziny do Nowego Sącza. A tam nie ma zmiłuj, musiałam mówić po polsku, żeby porozumieć się z dziećmi i podwórku.

A jeszcze następnego lata tato, który jest nie tylko reżyserem teatralnym, ale i dokumentalistą, zatrudnił mnie w filmie w roli dziennikarki. Szliśmy w pieszej pielgrzymce z Warszawy do Częstochowy, a ja pytałam pielgrzymów o to, czym jest miłość. Film dostał nagrodę na Festiwalu Filmów Chrześcijańskich w Niepokalanowie, gdzie

Po półtora roku rozdzielenia
małżeństw rośnie liczba
rozwodów i towarzyszących
im problemów. Mężowie
wielu dziewczyn zginęli na
wojnie, *a one zostały jedynymi
opiekunkami swoich dzieci*

zauważyła mnie Márta Mészáros. Miałam 15 lat, gdy zagrałam w jej filmie fabularnym pt. „Córy szczęścia” z Olafem Lubaszenką i Janem Nowickim. Rok później mieszkałam sama w Warszawie, bo robiliśmy długą postprodukcję, a ludzie, których wtedy poznałam, rozbudzili moją miłość do sztuki, kultury i Warszawy. Marzyłam, by zostać aktorką...

Ale...

Tata zabronił. Powiedział, że w rodzinie jest wystarczająco dużo artystów. Mam skończyć porządne studia, a potem mogę robić,

co chcę. Wybrałam historię na Uniwersytecie Kijowskim i nie szkoduję, bo nie jestem pewna, czy na innym kierunku otrzymałabym gruntowną wiedzę o świecie, polityce, procesach społecznych, która pozwala mi być dziennikarką. Bardzo wcześnie zrozumiałam, że moje życie musi być związane z kinem i telewizją, dlatego szukałam zajęcia w tej branży. Raz z powodu pasji, a dwa, żeby pomóc mamie. Nie zarabiała dużo w operze, chciałam jej ulżyć.

Dziennikarką zostałam, kiedy w Kijowie wybuchł Euromajdan.

Telewizja Espresso była telewizją rewolucji, a ja – jej pierwszą korespondentką, która relacjonowała z Wilna niepodpisanie przez Janukowycza umowy o asocjacji z Unią Europejską. Towarzyszyliśmy Ukraińcom przez cały Euromajdan i bardzo szybko staliśmy się telewizją ogólnoukraińską, która dziś odbierana jest w satelicie, kablu i digital. Zaczynaliśmy w schronie, w bloku mieszkalnym. Nikt wtedy nie myślał, że ten schron będzie kiedykolwiek potrzebny. Kiedy zaczęła się wojna, musieliśmy się szybko przeprowadzić. Na szczęście mieliśmy we Lwowie studio i bardzo dobrych dziennikarzy, między innymi znanego w Polsce Antona Borkowskiego. Kilka dni potem razem z kolegami ze Lwowa i Kijowa, w tym najwybitniejszym ukraińskim dziennikarzem Witalijem Portnikowem, prowadziłam na żywo sześciogodzinne maratony wojenne.

Nie przeczuwałaś, że wybuchnie wojna?

Miałam spakowaną walizkę z ubraniami na wszystkie pory roku. Mąż pytał, kiedy ją w końcu rozpakuję, a ja prosiłam go, by zawsze miał zatankowany do pełna bak w samochodzie. I oczywiście kiedy usłyszał pierwsze strzały, nie miał. Trzy godziny stał w kolejce na stacji benzynowej, a potem 25 godzin jechaliśmy do Lwowa. 500 kilometrów w korku. Od tej pory nie byłam w domu w Kijowie. Nie ja jedna nie wróciłam do Ukrainy. Miliony ukraińskich uchodźców, z których największy odsetek stanowią ko-



biety z dziećmi, rozsiało się po całym świecie. Najwięcej jest nas w Polsce, ale przecież ukraińskie dziewczyny osiadły też w Kanadzie i w Stanach. I dla nich są Sestry.

W każdym kraju istnieje mnóstwo inicjatyw pomocowych dla rodzin uchodźczych, ale nie mamy miejsca, gdzie Ukrainki niezależnie od tego, czy mieszkają teraz w Lizbonie, Dublinie, Paryżu czy w Piasecznie, mogłyby ze sobą rozmawiać. Nie mamy medium, które odpowiadałoby na ich pytania.

Jakie na przykład?

Od tych najprostszych - jak pomóc dzieciom w nowych realiach, jak ułożyć swoje życie, jak zacząć rozmawiać w języku kraju, w którym żyją - po te bardziej skomplikowane. Po półtora roku rozdzielenia małżeństw rośnie liczba rozwodów i towarzyszących im problemów.

Mężowie wielu dziewczyn zginęli na wojnie, a one zostały jedynymi opiekunkami swoich dzieci. Dla nich i dla siebie potrzebują konsultacji prawnych i psychologicznych. Muszą nauczyć się poruszać w systemach medycznych, które bywają na tyle skomplikowane, że mając na głowie dzieci i pracę, rezygnują z wizyt u lekarza. Chcemy im pomóc. Te, które zostały w Ukrainie, też nie mają wspólnego miejsca, gdzie mogłyby wymieniać się doświadczeniami, inspirować, czerpać siły do walki. Bo walczyły na niewidzialnym froncie. Musimy przetrwać. Przenieść miłość do naszego kraju w przyszłość i dołożyć swoją cegiełkę do budowy europejskiej Ukrainy naszych marzeń.

Czyli poradnik?

Plus publicystyka. Każda autorka jest wymuszoną migrantką, każda jest wolontariuszką

SESTRY

To pierwszy międzynarodowy magazyn publicystyczny online dla Ukrainek. Projekt strategicznie wspierają Media Liberation Fund oraz Kulczyk Foundation. Ambasadorkami Sestry są m.in. Agnieszka Holland, Olga Tokarczuk, Oksana Zabuzko.

i żołnierką tego niewidzialnego frontu. Mąż jednej z nich zginął na wojnie, a ona wysłuchała 500 unikalnych historii uchodźczyń gotowych opowiadać o swoim życiu, ale nikt ich nie słucha. W polskich mediach czytelnicy chcą mniej wojny, w ukraińskich - na odwrót. One żyją w bezpiecznych już miej-

scach, więc „o czym z nimi w ogóle rozmawiać?” I wychodzi na to, że mamy miliony kobiet, które nie mają głosu.

Z okupowanego Siewierodoniecka jest Olena. Mieszka w Kuźni Raciborskiej w hotelu, jest mamą. Zauważyła, że w Polsce niedawno obchodzono Dzień Ojca, i tak po prawdzie to był również dzień naszych kobiet. Bo one są i ojcami, i matkami w jednej osobie. Pracuje z nami też Tatiana z Olsztyna. Była dziennikarką ukraińskiej Jedyńki, wyjechała z Mikołajowa z noworodkiem. W Polsce dowiedziała się, że jej mąż zginął w obwodzie chersońskim. Powiedz, jak można to przeżyć? Musimy zostać twardełkami albo do czasu, aż nasi mężczyźni wrócą z wojny, albo na zawsze. I być podporą dla naszych dzieci.

Będziecie pomagały Ukrainkom asymilować się i zaczynać nowe życie czy jednak uczyć je, jak funkcjonować w atmosferze tymczasowości, bo kiedyś przecież wrócą do Ukrainy?

Nie wiemy, ile czasu potrwa wojna, tak jak nie wiemy, czy ten tymczasowy dom nie stanie się dla wielu z nas jedynym domem. Będziemy pomagać im organizować swoje życie w miejscu, gdzie się znajdują, i poczuć w Europie jak w domu. Nasz magazyn ma podtytuł „Droga do domu”, więc będzie to droga do nowego życia, do Ukrainy w Europie i w końcu – do nas samych. W ciągu tych 18 miesięcy wiele kobiet straciło kontakt ze sobą. Nie mają czasu, by pytać siebie o swoje potrzeby, zwłaszcza psychologiczne, cieszyć się codziennością. I my z pomocą najlepszych specjalistów będziemy im pomagały odnaleźć tę drogę do siebie. Dziewczyny muszą zrozumieć, że ich pojedynczy los jest losem wspólnym, a poczucie wspólnoty na pewno je wzmocni.

Masz dwie córki, prawda?

Tak. Starsza chodzi w Polsce do szkoły, ale równocześnie zalicza online szkołę ukraińską. Młodsza urodziła się w czasie wojny.

Tuż przed twoim sobotnim programem na żywo.

Stałam już w make-upie na podwórku i ostatni raz czytałam napisany przeze mnie scenariusz programu i jakiś artykuł o Trumpie, kiedy poczułam skurcze i zamiast do telewizji pojechałam na porodówkę. „Kto poprowadzi program, skoro pani rodzi?” – niepokoiły się położne. Witalij poprowadził sam, a ja urodziłam Amelię. Koleżanki i koledzy z telewizji odebrali nas z porodówki, a dwa tygodnie później wyjechałam do Polski. Mąż wyjechał wcześniej, by ogarnąć dla nas życie.

Po pół roku wróciłaś do pracy w swoim zawodzie. Nie wszystkie Ukrainki mają to szczęście. Pewnie czują się zawodowo zdegradowane, nie sądzisz?



Maria Górska została dziennikarką, kiedy w Kijowie wybuchł Euromajdan. Telewizja Espresso była telewizją rewolucji, a Maria - jej pierwszą korespondentką

I będziemy im pomagać. Jedną z naszych autorek opowiadała o kobietach mieszkających w jej sąsiedztwie, do których przychodzi MOPS i pyta je, czy dały dzieciom do szkoły nożyczki i ołówki i czy nie mają problemów z alkoholem. Jedną z nich była księgową, a teraz myje podłogi w fabryce, gdzie zabijane są zwierzęta.

To ogromne wyzwanie pomóc tym kobietom znaleźć zatrudnienie zgodnie z kwalifikacjami, ale też pomóc im przetrwać psychicznie ten czas. Znaleźć potrzebne im wsparcie, pomóc znaleźć kursy językowe, które ułatwią im powrót do zawodu.

Wierzysz, że to możliwe? Obawiam się, że mogą być sfrustrowane, wyobcowane i nieszczęśliwe.

Czytam teraz „Wybór” Edith Eger. To autobiograficzna historia węgierskiej Żydówki, która jako dziewczyna marzyła, by zostać tancerką. Kiedy miała 20 lat, została z rodziną wywieziona do Auschwitz. Tylko ona przeżyła. Pod koniec wojny złamała kręgosłup, trafiła do Stanów. Oboje z mężem byli imigrantami i przez wiele lat walczyli o to, żeby uprawiać profesje, które dadzą im spełnienie. Edith została jedną z najwybitniejszych psychoterapeutek świata, konsultuje żołnierzy z traumą. Jej mąż, przed wojną wybitny finansista, został księgowym dla osób,

które znalazły w Stanach Zjednoczonych nowy dom. Był dobrym człowiekiem, pomagał ludziom. Włożyli w realizację swoich ambicji ogromny wysiłek, dlatego wydaje mi się, że jeśli w człowieku jest pragnienie działania, to potrafi wszystko.

Wielu Ukrainkom będzie trudno wrócić do praktykowania w zawodach, które uprawiały w Ukrainie, ale w każdej części świata mogą się przekwalifikować i realizować swoje marzenia. Wierzę, że to jest możliwe, czego dowodem jest życie Edith Eger.

Czy twoja córka też budzi się noc w noc?

Nie, co nie znaczy, że nie żyje wojną. Nasłucha się strasznych historii w szkole, a i mój tato dokłada swoje opowieści, przed którymi chciałabym ją chronić. Dzwoni na Skypie i opowiada, co się dzieje w Ukrainie, nie szczędząc jej szczegółów, kiedy zginie jakieś dziecko lub jego rodzice, co się zdarzyło kilka dni temu w Orichiwie w obwodzie zaporoskim. Zabici przez rakiety rodzice ośmioletniej dziewczynki pracowali na kolei i teraz jej wychowaniem zajmie się wspólnota Ukraińskich Dróg Kolejowych „Ukrzaliznycia”. Moja Oliwa jest jej rówieśniczką. Płakała nad jej losem. Proszę tatę, by przestał opowiadać jej takie historie, ale on powtarza, że „musi wiedzieć o tym wszystkim”.

Dzieci w szkole też rozmawiają o wojnie?

Nie wszystkie dzieci dostają, jak moja córka, wsparcie od nauczycieli i rówieśników. Zdarza się, że dzieci ukraińskie słyszą w szkołach, że Rosja zbombarduje ich dom, że Ukraina przegra, bo jest słaba, a Rosja jest silna. Zastanawiałam się, skąd się bierze w dzieciach takie okrucieństwo, i przyszło mi do głowy, że rozpoznają czuły punkt u rówieśników i w niego uderzają. Raz jest to wojna, a w innych okolicznościach coś innego.

A pod koniec roku szkolnego chłopczyk, który dokuczał mojej córce, powiedział, że jego rodzice mówią, że Ukraina zasłużyła na to, że napadli na nią Rosjanie, ponieważ wcześniej napadła na Polskę.

I tym sposobem kolejne pokolenie będzie chciało „pomścić Wołyń”??

Mam nadzieję, że nie. Po wybuchu wojny polityczna narracja na temat stosunków polsko-ukraińskich się zmieniła, ale nie wszyscy potrafią przełączyć się szybko z jednej narracji na drugą. Potrzebują więcej czasu, by zrozumieć, że mamy wspólnego wroga i to przed nim musimy się bronić. I że Ukraina walczy teraz nie tylko o własną wolność, ale broni też demokratycznej Europy przed totalitaryzmem i dyktaturą.

Tylko jak to wyjaśnić strauumatyzowanym dzieciom?

Rozmawiamy z mężem z naszą córką, ale cały czas myślę o dzieciach, z którymi matki nie są w stanie rozmawiać, bo pracują od rana do nocy, by zapewnić im utrzymanie. Te dzieci nie mają z kim podzielić się swoimi zmartwieniami, co łamie mi serce. W czerwcu Petr Pavel, prezydent Czech, zaprosił na Hradczany ukraińską dziewczynkę, którą na szkolnej wycieczce opluły inne dzieciaki. Krzyczały, że ma zabierać się z powrotem do Ukrainy. Znam trochę takich historii, ale na szczęście znam też inne. Od lat w Ukrainie i w Polsce działają odpowiedzialni liderzy, którzy budują mosty i wspierają więzi między nacjami i ludźmi, realizując projekty dialogu i porozumienia. To Mykoła Kniażycki, współprzewodniczący Grupy Parlamentarnej ds. Kontaktów Międzyparlamentarnych z Rzeczpospolitą Polską, i wielki przyjaciel Ukrainy Paweł Kowal. Wspólnie pracowaliśmy na rzecz europejskiej przyszłości Ukrainy. Przyszłości, w której już nikt nie będzie mógł kraść ukraińskich dzieci i oddawać rosyjskim rodzinom do adopcji, mimo że ich rodzice żyją. To zbrodnia wojenna.

Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze wydał w marcu nakaz aresztowania Putina i jego komisarz ds. praw dziecka w Rosji Marii Lwowej-Bielewej za wywiezienie w głąb Rosji 16 tys. ukraińskich dzieci.

To ważna wiadomość dla świata, ale sytuacji tamtych dzieci to jednak nie zmienia, z czym

nie potrafię sobie poradzić. Trudno nie płakać. Mam nadzieję, że Putin i jego sojusznicy spłoną w piekle, ale zanim tak się stanie, zasiądą na ławie oskarżonych Międzynarodowego Trybunału.

Ja zaś znam historie dzieci, które nie odzywają się po polsku w przedszkolach, mimo że są w Polsce od roku. I znam nauczycielki, które zakładają, że nie odpowiadają na ich pytania „na złość, bo przecież wszystko rozumieją”.

Mój mąż jako dziecko został uczniem szkoły ukraińskiej w Kijowie. Jego rodzice są Polakami. Mama pracowała w dyplomacji, a tata zajmował się biznesem polsko-ukraińskim. Przez pierwszy rok w szkole w ogóle nie mówił po ukraińsku. Nic. Tylko słuchał. Jego rodzice myśleli, że będą musieli zmienić pracę i wrócić do kraju. Tymczasem kiedy po wakacjach w Polsce wrócił do szkoły, zaczął mówić jak Ukrainiec. Pełnymi zdaniami. Bez akcentu. Niektóre dzieci potrzebują więcej



Maria Górka z córką

czasu, żeby przestawić swój aparat językowy na nowe tory, co wydaje mi się kwestią osobowości, a nie zdolności. Mój mąż potrzebował roku, a nie przyjechał do Kijowa z kraju ogarniętego wojną, tylko z bezpiecznej Polski.

Milczenie ukraińskich dzieci może być też dowodem ich traumy. Mogą odczuwać ogromną niesprawiedliwość i tamować próby szybkiego nawiązania kontaktu ze światem zewnętrznym. To ich protest wobec życia w nowych warunkach, co bardzo dobrze rozumiem. Czuję ich ból. Wierzę, że to doświadczenie je zahartuje. Życie jest niesprawiedliwe, nie wiadomo, w jakim świecie przyjdzie nam jutro żyć, a one połknęły

już gorzką pigułkę, która pozwoli im być silniejszymi w przyszłości.

Ale „blizny na duszy pozostaną”, jak po spotkaniu z ukraińską uczennicą napisał na Twitterze prezydent Czech.

Mam nadzieję, że uda nam się choć trochę te blizny zaleczyć, rozmawiając o nich.

Nie zapytałam cię o patriotyzm.

Przez wiele lat patriotyzm był w Ukrainie kategorią dotyczącą mniejszości. Większość myślała o chlebie powszednim, a nie o tym, jakie tematy poruszane są w podręcznikach czy w programach telewizyjnych. Wygodniej im było mówić po rosyjsku. Dziś w Kijowie nie usłyszysz języka rosyjskiego, wszyscy mówią po ukraińsku.

Ty też mówiłaś po rosyjsku?

Tak, do 18. roku życia. W szkole, w której zresztą poznałam swojego męża, uczyliśmy się polskiego i ukraińskiego, ale na co dzień rozmawialiśmy po rosyjsku. Jednak kiedy mój tata usłyszał w 2001 roku papieża, który zwracał się do Ukraińców w ich języku, zdecydował, że od tej pory mówimy tylko po ukraińsku. Bo skoro Polak może, to my tym bardziej. Ojciec ma ogromny wpływ na moje życie, więc i w tej kwestii pociągnął mnie za sobą.

W życiu studenckim miłości do Ukrainy uczyli mnie moi profesoremie z Uniwersytetu Kijowskiego, którzy w czasie pomarańczowej rewolucji mówili: „Dzieci, nie bójcie się opuścić zajęcia, idźcie na Majdan, tam decyduje się wasz los”. I szliśmy. Dzisiejszym źródłem tej mojej miłości są moje korzenie, które ciągną się z mojego serca do domu, i bohaterowie, którzy walczą z putinowską Rosją o wolną Ukrainę w Europie.

Zastanawiam się, czy odkąd zostawiłaś swoje życie w Kijowie, zdarzyło ci się zachwyt albo szczęście wolne od poczucia winy.

Moi bliscy w Kijowie mówią, że nauczyli się bywać szczęśliwymi, nie zważając na wojnę i jej straszne wyzwania.

Życie jest silniejsze od śmierci. Oplakuję naszych zmarłych, ale daję sobie prawo do chwil szczęścia, nie odkładając go za każdym razem na potem. Trudno jest żyć na pauzie. Rosja wskutek swoich złodziejskich działań zabiera nam prawo do kochania, do budzenia się w naszych domach z naszymi bliskimi. Musimy odkładać spełnienie swoich pragnień na jutro. Jutro będziemy szczęśliwi, a przecież tak bardzo chce się już dziś. ♦



Janio

Miłość czy porządek

Gdy zwraca mu uwagę, że jest bałagan, Krzysiek przyznaje żonie rację, przeprosza i zapewnia: „Ja tego po prostu nie widzę”

TEKST IZABELA O’SULLIVAN
RYSUNEK PAWEŁ JOŃCA

Naczyń do zmywarki nie włoży, wszystkie wrzuci do zlewu. Ciuchy muszę mu złożyć i zostawić w szafie, inaczej zaraz będę miała te czyste w praniu, bo wyładują na podłodze i pies się w nich wytarza. To, co wyciągnie z kieszeni, zostawia gdziekolwiek. Zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i kładzie na lodówce, mimo że mamy na nie wyznaczone miejsce, a potem szuka - wylicza Kasia, od 20 lat po ślubie. - Może w tym jest jakiś mój błąd, że mam męża bałaganiarza? Z poprzednim partnerem było tak samo, więc albo biorę sobie taki typ, albo im na to pozwalam. Mam brata, który przez całe życie nie sprzątał, a teraz przy żonie chodzi jak w zegarku.

Kasia na bałaganiarstwo męża przymyka oko. Najczęściej po nim sprząta, bo to mniej roboty, niż za każdym razem powtarzać, że ma ogarnąć. Gdy zwraca mu uwagę, Krzysiek przyznaje żonie rację, przeprosza i zapewnia: „Ja tego po prostu nie widzę”. - Wierzę mu. Bałagan, który wokół siebie robi, to nie jego zła wola, nie wynika też z lenistwa - mówi.

Kiedy Krzysiek weźmie prysznic, nie pomyśli, że trzeba przetrzeć kabinę. Nie zauważy, że umywalka czy lustro są brudne. Nie radzi sobie ze składaniem ubrań po praniu i Kasia zawsze musi po nim poprawiać. Ale kiedy ona sprząta, Krzysiek nie leży na kanapie ani nie patrzy w telefon. Wiedząc, że nic po nim przy domowych obowiązkach, znalazł drugą pracę. - To jakiś rodzaj kompromisu. Ja mniej pracuję, ale za to gotuję i sprzątam. Może gdybym 20 lat wcześniej zastanowiła się nad Krzyśka podejściem do porządku, próbowałabym coś z tym zrobić. Wtedy miałam więcej siły i nie zwracałam na to uwagi. Nie mieliśmy też dzieci. A po czterdziestce człowiek zaczyna widzieć różne rzeczy - twierdzi.

Ich 19-letni syn bałaganiarstwo odziedziczył po tacie. Kasia ma z nim układ, że sam robi sobie pranie. Kiedy prosi, żeby posprzątał w swoim pokoju, nie ma z tym problemu, jednak trzy godziny później wszystkie efekty znikają. - Trudno nauczyć dzieci

przestrzegania porządku, skoro tata po sobie nie sprząta - zaznacza.

Krzysiek czasami ma zrywy i bierze się do odkurzenia. Wtedy robi to z taką dokładnością, że sprzątnięcie 60-metrowego mieszkania zajmuje mu dwie godziny. Nie potrafi przejechać z grubsza. Kasia przypuszcza, że może właśnie dlatego tak niechętnie podchodzi do porządków. - Nauczyłam się żyć w bałaganie. Sajgonu nie ma, bo ogarniam na bieżąco, ale czasem się nie wyrabiam i na przykład w salonie leżą na kanapie ciuchy. Skupiam się na Krzyśka dobrych cechach. Trzeba się zastanowić, czy bardziej kocham jego, czy porządek - mówi. - Ostatnio gdzieś szliśmy i robiliśmy ćwiczenie, które polegało na tym, że na głos mówił, co w danym momencie myśli. Okazało się, że widzi mnóstwo szczegółów, a jedna myśl goni drugą. Gdybym miała taki chaos w głowie, to nie wiem, jak bym żyła.

PRIORYTETY

Ewa zna problem od drugiej strony. Stara się utrzymać czystość w kuchni i w łazience, ale w pokojach przychodzi jej to z trudem. Ubrania, zabawki i inne przedmioty lądują na podłodze. - Ignoruję bałagan, tak jak nie zwraca się uwagi na wiszący w domu od 15 lat obraz czy kolor ścian. Chodzę dużymi krokami, żeby ominąć leżące rzeczy. To wymaga mniej wysiłku niż ich posprzątanie - wyjaśnia. - Nie nazwałabym tego lenistwem, to raczej chaotyczna praca mózgu. Bez przerwy mam pogoń myśli, skacząc z tematu na temat. Sprawy nieistotne spycham na margines. Jak się rozbieram, koszulka po prostu spada, nie daję jej żadnego priorytetu.

Rok temu u Ewy zdiagnozowano ADHD. Eksperci twierdzą, że dezorganizacja może być jednym z objawów, przy czym manifestuje się na różne sposoby. Ktoś będzie przechowywał dużo przedmiotów w widocznych miejscach, np. na stosach, kto inny zapelniał mieszkanie impulsywnie kupowanymi rzeczami albo zostawiał brudne talerze w każdym pokoju. Ale są też osoby z ADHD, które pedantycznie dbają o porządek, bo bałagan je rozprasza.

Ewa ma siedmioletniego syna, którego wychowuje w trybie opieki naprzemiennej z jego tatą. - Gdy Jasiu był mały, dużo uwagi kierowałam na to, żeby usunąć niebezpieczne przedmioty. Resztą się nie przejmowałam, zabawki na przykład mogły leżeć obojętnie gdzie. A jak zaczął rozumieć więcej, to tłumaczyłam, czego nie może dotykać, i tego nie ruszał. Jego rozsądek sprzyjał temu, żeby za bardzo nie przykładac wagi do porządkowania rzeczy - twierdzi.

Nigdy nie ma problemu, żeby cokolwiek w tym rozgardiaszu znaleźć. Zdarzało jej się nie panować nad tym, gdzie odłożyła telefon i klucze, ale w przypadku pozostałych rzeczy, które rzadziej zmieniają miejsce, odtwarza ich położenie z fotograficzną dokładnością. - Bywało, że przez telefon tłumaczyłam partnerowi, na którym stosie rzeczy jest czysta bluza dla syna - opowiada.

Z ojcem Jasia była przez osiem lat. Kiedy mieszkali razem, Ewa miała zakaz wstępu do Mariusza pokoju. Irytowały go rzeczy leżące na podłodze w salonie i w sypialni, czasem mówił, żeby je ogarnęła, ale nie było o nie awantur. - Raz zaproponował, żebyśmy zatrudnili kogoś do sprzątania. Nie zgodziłam się, bo nie lubię, gdy ktoś przenosi moje rzeczy - mówi Ewa.

Zdarzało się, że się kłócili o kuchnię. Mariusz chował naczynia do szafek, ale zostawiał na blacie plamę z mleka. Ewa najpierw starłaby plamę, a rzeczy pewnie zostawiła tam, gdzie są. Wzajemnie sobie wskazywali, co trzeba sprzątnąć. Ale te sprawy nigdy nie dominowały.

Zupełnie inaczej było w domu rodzinnym Ewy. Od małego była bałaganiarą i to notorycznie stanowiło punkt zapalny. Gdy rodzice ją ganili, starała się ogarnąć, ale na dłuższą metę nic z tego nie wychodziło. Porządek wprowadzał dla niej chaos.

- Przez cały tydzień dobrze wiedziałam, gdzie co mam w swoim pokoju, a jak przychodziła sobota i było sprzątanie, to potem nic nie mogłam znaleźć - opowiada.

Diagnoza uwolniła ją od życia w ciągłym poczuciu winy - że o czymś zapomniiała, coś popsowała, że znowu ma bałagan. Pomogła też lepiej poradzić sobie z powracającą przez kilka lat depresją. Dzisiaj zamiast sprzątać,

woli iść z synem do skateparku albo kupić słodkie bułki i zjeść je z nim w parku. Kiedy Jaś jest u taty, Ewa nie odkurza ani nie porządkuje ubrań, tylko umawia się na randkę. Albo po prostu odpoczywa.

Gdy zaprasza gości, stara się doprowadzić mieszkanie do porządku. Stosy ubrań znikają. - Wiem, jakie są standardy i w jakim stanie powinien być dom, kiedy się ktoś przyjmuje. Wtedy potrafię się zmotywować, ale na co dzień nie muszę - twierdzi.

Ewie znacznie łatwiej zabrać się do sprzątnięcia, gdy może je połączyć z czymś przyjemnym. Dlatego zmywając naczynia czy odkurzając, słucha podcastów. - Łatwiej wtedy oszukać mózg. Zajęty czymś ciekawym nie skupia się na przykrym obowiązku - wyjaśnia.

Z Mariuszem nie rozstali się przez bałagan. Dla niego sprzątnięcie też nie było na szczycie listy priorytetów. Któregoś dnia stwierdził, że skoro Ewy rodzice włożyli tyle energii, żeby nauczyć ją utrzymywania porządku, a mimo to żadna z tych metod nie działa, to nie dlatego, że jej się nie chce. To był jeden z argumentów, który przekonał ją, żeby się zdiagnozować w kierunku ADHD.

WYMÓWKI

Agata swój niedawno zakończony związek dzieli na cztery etapy. Każdy z nich różni się podejściem Pawła do własnego niechlujstwa.

Pierwsze wspólne mieszkanie dzielili z sześcioma innymi osobami. Studia, niski budżet, kanapki z uformowanym ketchupem napisem „ser”. Każdy z dwóch pokoi na tych czterdziestu paru metrach podzielili na pół, na weekend dojeżdżały jeszcze zwykle trzy osoby. - Pawła irytował ten tłok i nieład. Drażniło go, że nie wszyscy byli skłonni po sobie poznywać czy ogarnąć łazienkę. Głównie robiliśmy to my. Nabrałam przekonania, że jak zamieszkamy tylko we dwoje, będzie miał podobne nastawienie do porządku i podziału obowiązków - opowiada Agata. To był pierwszy etap ich związku: Paweł starał.

Gdy samodzielnie wynajęli mieszkanie, ta faza jeszcze przez chwilę trwała. Partner Agaty zwracał uwagę na każdy brudny talerz w zlewie i przestrzegał, by kubek z gorącym napojem stawiać na podkładce. Ona studiowała i pracowała, on siedział w domu i szukał pracy. Znalazł ją po trzech latach. Z czasem zaczął tracić entuzjazm do sprzątnięcia. - W którymś z kolei wynajmowanym mieszkaniu zaczęło wychodzić, że mu się nie chce. Tłumaczył, że nigdy go nie zrozumie, bo pracuję umysłowo, a on po pracy fizycznej jest zmęczony. Starałam się więc spać i robiłam różne rzeczy za niego - mówi Agata.

IWONA MICHALAK-JĘDRZEJCZAK, PSYCHOLOŻKA I PSYCHOTERAPEUTKA



Porządek może być powodem licznych kłótni w związku, jeśli u jednej z osób zajmuje pierwsze miejsce na liście priorytetów, a u drugiej jest znacznie niżej. Gdy jedna strona nie odnosi naczyń albo zostawia przy łóżku brudne skarpetki, druga może w tym upatrywać złych intencji, nadawać temu znaczenie „robienia na złość”. W konsekwencji może to doprowadzić do rozpadu relacji. Gdy dwie osoby są na siebie uważne i chcą „usłyszeć” wzajemne potrzeby, można znaleźć kompromis.

Dla wielu bałaganiarstwo to styl życia. Łatwiej i łaskawiej jest użyć wtedy określenia „artystyczny nieład”

- nie przeszkadza tym, którzy go robią, różnie odbierają go ich towarzysze życia. U jednych może doprowadzić do rozpadu związku, inni go akceptują albo sami opanowują. Utrzymanie porządku to umiejętność, a to znaczy, że można się jej nauczyć. Bałaganiarstwo nie musi oznaczać robienia na złość czy lenistwa. Nieład wokół nie musi źle o nas świadczyć, ale może stać się problemem. Na przykład brudne mieszkanie, w którym trudno żyć, może być informacją o pogorszeniu stanu zdrowia psychicznego, szczególnie w przypadku osób, które wcześniej nie miały kłopotu z porządkiem. Bałaganiarstwo to też jeden z objawów ADHD. Podobnie z pedantyzmem, który może odbić się na życiu codziennym i rodzinnym. Skrajności nie służą związkom. Jedni uczą się z nimi żyć, dla innych jest to przekroczenie granic osobistych i może doprowadzić do rozpadu relacji. Ważne, by umieć zatrzymać się i zadać pytanie: jaką funkcję bałagan pełni w moim życiu?

Na początku wspólnego mieszkania zorganizowała spotkanie przy stole, żeby omówić, jak dzielą się obowiązkami. Ustalili, że Agata zmywa naczynia, Paweł wyciera, ona ogarnia łazienkę, on czyści odpływ. Zgodził się też na wynoszenie śmieci i mycie klatki schodowej, bo mieli dyżury z sąsiadami. Szybko się okazało, że nie wywiązuje się z umówionych rzeczy. Agata brała nadgodziny, Paweł wracał z pracy wczesnym popołudniem i grał na telefonie. Czas na domowe obowiązki zaczynał się dopiero wtedy, gdy już oboje byli w domu. Nigdy się nie zdarzyło, by zrobił coś podczas jej nieobecności. Często z kolei bywało tak, że gdy po powrocie prosiła go o pomoc, twierdził, że nie ma siły i chce iść spać.

Najwięcej kłótni mieli o szczury. Trzymali je w salonie i kiedy byli w domu, swobodnie biegały po pokoju.

- Paweł miał czyścić klatkę, a ja resztę, czyli na przykład wymieniać pojemniczki, w które się załatwiają, i rozłożone na podłodze maty - wyjaśnia Agata. - Zaczął to olewać i musiałam ogarnąć za nas dwoje. Skarżyłam się, że nie mam kiedy usiąść i odpocząć, że brakuje mi sił. Mogłam wszystko zostawić, ale w bałaganie nie umiem się zrelaksować. Po takich rozmowach był jeden dzień love bombingu, Paweł gotował i sprzątał. A potem wszystko wracało do normy.

Kolejny etap przebiegał pod hasłem „nie potrafisz”. Nie umył na przykład naczynia żaroodpornego, bo twierdził, że nie wie jak. Ten sam argument podawał, zostawiając na kuchence brudną patelnię. Nie umył podłogi, bo nie był pewny, czy mopem można przejechać też po listwach. Agata na początku

tłumaczyła, pokazywała, on patrzył, kiwał głową i zapewniał, że następnym razem będzie wiedział. Tydzień później powtarzało się to samo.

„Nie potrafisz” przeplatało się z „nie przeszkadza mi”. Paweł zaczął wychodzić z założenia, że nie ma co skupiać się na drobiazgach. Nie tylko stracił chęci do bieżącego ogarniania domu, ale też do utrzymywania względnego porządku. Zostawiał na podłodze brudne skarpetki, kładł byle gdzie rzeczy wyjęte z kieszeni, rolkę po papierze toaletowym zostawiał w łazience, nie przeszkadzała mu lepiąca się podłoga, a kubek po wypitej kawie lądował w zlewie i potrafił tam leżeć godzinami. Agatę najbardziej jednak drażniło zostawianie resztek jedzenia, bo gdyby do talerza dostały się szczury, mogłyby im zaszkodzić. - Któregoś dnia się zламаłam i postanowiłam, że nie będę sprzątać po Pawle. Chciałam zobaczyć, jak dużo jest tych drobnych rzeczy, które mnie denerwują. Do wieczora zbierałam na jedną kupkę wszystko, co po sobie zostawił. Uskładał się stos wielkości połowy dużej torby z Ikei - opowiada.

Od tego czasu kłótnie zaczęły narastać. Paweł zmienił jednak taktykę i zamiast tłumaczyć, że nie potrafi albo że coś mu nie przeszkadza, twierdził, że Agata się czepia, albo rzucał: „Nie rozkazuj mi!”

Któregoś dnia wróciła późno do domu. On był już po pracy od kilku godzin. Gdy w trakcie dnia się zdzwaniali, poprosiła, żeby kupił worki na śmieci. Zapomniał. Wysłała do sklepu, przyniosła je. Część wykorzystwała do sprzątnięcia klatki szczurów, część - do spakowania Pawła rzeczy. - Był bardzo

zdziwiony. Stwierdził, że mogłam wcześniej go ostrzec, że mam takie odczucia – mówi Agata. Zerwali po siedmiu latach, po pięciu wspólnego mieszkania.

Od niedawna jest w nowym związku. Kiedy poznała swojego obecnego partnera, też sprawił na niej wrażenie bałaganiarza. Zaprosił ją do siebie, a gdy zobaczył, że jest przestraszona, poprosił, by pomogła mu posprzątać. Przyjęła propozycję, chciała mu pokazać, jakie ma standardy. Jeszcze nie są na etapie mieszkania razem, ale gdy Bartek ją odwiedza i jest coś do zrobienia, często zabiera się do tego z własnej inicjatywy. – Wystarczy, że powiem: „Kurczę, jeszcze muszę umyć klatkę schodową”, a on już stoi z mopem i zaczyna to robić. Mamy zupełnie inny typ relacji. Staranie Pawła, jeśli było, to zawsze wymuszone. Bartek robi to naturalnie – twierdzi Agata.

KONTROLA JAKOŚCI

Paula czasem marzy, żeby jej mąż po powrocie z pracy położył się na kanapie i odpoczął. Zamiast tego swoje pierwsze kroki kieruje zawsze do kuchni. I sprawdza: czy ścierka na zlewie rozwinięta i się suszy, czy kubek odłożony na ociekarce dnem do góry,

czy sitko jest tam, gdzie być powinno. Złości się, gdy sięgając do szuflady po widelec, w przegrodzie znajduje łyżkę, którą nieuważnie umieściła tam żona. I tak od 17 lat, bo tyle są po ślubie.

Wcześniej miesiali też śpięcia podczas przygotowań do przyjęcia gości. Na przykład gdy Paula układała kabanosy na niewłaściwym talerzu, Daniel ostentacyjnie przekładał je na inny, który uważał za bardziej odpowiedni. W końcu się zbuntowała i stwierdziła, że zostawia wszystko w jego rękach. Teraz siedzi z gośćmi, a Daniel podaje do stołu. – W ogóle nie ma o to pretensji. Jest szczęśliwy, że wszystko może zrobić po swojej myśli – mówi Paula.

Zmywarke stara się włączać, kiedy męża nie ma w domu, bo inaczej zagłada do środka i sprawdza, czy naczynia są dobrze ułożone. Jeśli nie, przekłada je z hukiem, dodając: „Cały czas ci mówię, że mają leżeć tak”. – Gdy wykonuję prace domowe, nie zastanawiam się nad nimi. Po prostu odkładam ścierkę albo umieszczam naczynia w zmywarce. A on uważa, że robiąc nie według jego zamysłu, robię mu na złość – opowiada.

Kontrola jakości ma miejsce głównie w kuchni, ale nie tylko. Spowodowała, że Paula oddała mężowi też inne obowiązki.

Daniel odkurza, myje okna i podłogi, bo twierdzi, że żona robi to niedokładnie. – Kiedy bierze się do sprzątanego, musi być błysk. Nie usiądzie, jeśli w zlewie jest chociaż jedna brudna szklanka. Ja mogę odpoczywać, gdy jest niepozmywane – śmieje się Paula.

Daniel nie czepia się, jeśli chodzi o pranie i prasowanie, więc tym nadal zajmuje się ona. – Ufa, że dobrze wypiorę jego ciuchy, ale już biorąc szklankę, sprawdza pod światło, czy na pewno jest czysta. To samo robi, gdy jesteśmy u znajomych – dodaje.

Przed powrotem męża z pracy nie stresuje się, ale sprawdza, czy jest coś, do czego będzie mógł się przyczepić. Gdy po niej poprawia, wkurza się albo komentuje, ale kłótnie o porządek są krótkie i mało burzliwe. Oboje wychodzą z założenia, że są ważniejsze sprawy. – Zalety, jakie ma Daniel, przewyższają te niedogodności. Nie rozwiodę się przez uwagi o źle ułożone noże i widełce, chociaż czasem jestem nimi zmęczona. Nie rozumiem, że zamiast cieszyć się odpoczynkiem, woli oglądać kuchnię. Nie mogę uzyskać od niego odpowiedzi, dlaczego to robi – mówi Paula.

Czy przy mężu czuje się niechlujem? – Nigdy tak o sobie nie myślałam. To Daniela uważam za pedanta. ♦

REKLAMA

Ostatni mędrzec Ameryki. O krętej drodze **Cormaca McCarthy’ego** opowiada **Maciej Jarkowicz**

+
Olga Tokarczuk o powieści,
którą kocha najbardziej

+
Miasto, które się droczy, czyli Warszawa
według **Doroty Masłowskiej**

+
Nasz stały dodatek
„Książki dla dzieci i młodszych dorosłych”

Aborcyjna Landryna w trasie

Ulotki i wlepki biorą głównie dziewczyny. Kibice KS Gliwice nie żałują sobie prezerwatyw, ale obiecują też okleić wlepkami pociąg

TEKST KATARZYNA WĘŻYK

m

- Mam osobę, która wzięła już mife [mifepriстон, pierwsza część zestawu do aborcji farmakologicznej], ale boi się wziąć miso [miso-prostol, lek powodujący skurcze] - mówi Anna Prus znad komunikatora w telefonie. Współpracuje z Aborcyjnym Dream Teamem i na swoim dyżurze odpowiada na pytania o aborcję farmakologiczną.

- Który tydzień? - pyta Justyna Wydrzyńska.

- Szósty.

- Napisz jej, że jak mife przestanie działać i wtedy zdecyduje się przyjąć miso, to wszystko będzie odczuwać podwójnie, podwójnie rzygać, dłużej się będzie męczyć - podpowiada Natalia Broniarczyk.

Justyna Wydrzyńska: - Ja bym zapytała, czego konkretnie się boi.

Anna Prus: - Mówi, że ma krwiaka podkosmówkowego.

Wydrzyńska: - To normalne na tym etapie ciąży. Może trochę chlusnąć i tyle. Napisz, że rozumiesz, że to ją może niepokoić, ale krwiaki nie są przeciwwskazaniem do aborcji tabletkami. Może być przez chwilę większe krwawienie, ale to nie jest niebezpieczne.

Zdalna konsultacja aborcyjna odbyła się w piątkowy poranek w wanie zwanym pieszczołliwie Landryną, mniej pieszczołliwie - abortbusem. Landryna wymalowana jest we wzór jak z tapety na ścianie amerykańskiego motelu z lat 90.: czarny zarys palm na tle czerwono-fioletowego zachodu słońca, kicz tak oczywisty, że już nostalgiczny. Na drzwiach żółty napis „Aborcyjny patrol”, na boku, jeszcze większymi literami, „Aborcja bez granic”

i numer telefonu: 22 29 22 597. Landryna jedzie do Trójmiasta, gdzie przez cztery dni - od 7 do 10 lipca - dziewczyny z ADT i trójmiejskie aktywistki będą rozdawać wlepki, ulotki, przypinki, koszulki i bluzy i informować o tym, jak bezpiecznie przerwać ciążę.

Broniarczyk: - Kiedy Justyna została skazana, zapowiedzieliśmy, że ten wyrok zmobilizuje nas do jeszcze większej widoczności: że kupimy busa, będziemy jeździć w Polskę i informować, czym jest aborcja i jak ją zrobić. Naszą pierwszą nazwą zresztą był Aborcyjny Dream Team on Tour - postanowiłyśmy wrócić do korzeni. Ten wyjazd jest dla nas testowy: sprawdzimy, co działa, a co można poprawić.

- A co macie w tych pudłach z tyłu? Tabletki aborcyjne? - dopytuję.

Broniarczyk, ze śmiechem: - Może.

Wydrzyńska: - Z nami to nigdy nic nie wiadomo. Trzeba przyjść i zobaczyć, co będziemy rozdawać. A serio to mamy gadżety, które będzie można sobie wziąć albo wygrać w losowaniu.

Pod koniec czerwca 2003 roku należący do organizacji Women on Waves holownik „Langenort”, szumnie zapowiadany jako przenośna klinika aborcyjna, zacumował przy nabrzeżu we Władysławowie. Przywitali go wszechpolacy z kamieniami i jajkami, telewizyjne kamery - trwał sezon ogórkowy, a awantura zapowiadała się obiecująco - i feministyczne aktywistki. Statek kilkakrotnie wypłynął w morze, zabierając na pokład pasażerki z Polski, a pytaniem „robią tam aborcję czy nie?” przez tydzień żyły wszystkie media - przy okazji przekazując informację, że ciążę można przerwać także tabletkami.

20 lat później temat aborcji tak się w Polsce znormalizował, że Landrynę w Gdyni-Orłowie witają tylko lekko znudzeni policjanci. Kontrpikiet brak. Dziewczyny - do pasażerek abortbusa dołączyła Kinga Jelińska

z ADT i trójmiejskie aktywistki - rozkładają na trawniku stolik z gadżetami i fioletowy plażowy parawan z napisem „Aborcyjny Dream Team”. Zmieniają się przy mikrofonie: jedna czyta aborcyjne historie opublikowane na stronie organizacji, druga spaceruje z przenośnym głośnikiem. Przechodnie - rodziny z dziećmi, pary emerytów, rzadko nastolatki, trochę osób z Ukrainy - oglądają się, zwalniają kroku, ale najczęściej nie zatrzymują się przy stoisku. Czasem ktoś rzuci komentarz. - Żaby nie zabijecie, ale człowieka zawsze? - pyta opalony czterdziestoparolatek. - Panie się nie krępują, nie wstydzą? Zastanówcie się nad sobą, bo to jest tragiczne - ocenia emerytka. - To trzeba być zerem, nie człowiekiem - dodaje kobieta w podobnym wieku.

Przynajmniej trzy osoby podchodzą do radiowozu z żądaniem usunięcia aborcjonistek z przestrzeni publicznej za zakłócanie spokoju („Dla mnie to jest nieludzkie. Nie da się tego słuchać”) oraz wulgarnie hasła (na tablicy z zaproszeniem: „Napisz nam coś miłego”, dwie osoby dopisały: „Jebać PiS”), ale policjanci rozkładają ręce: zgromadzenie zostało zgłoszone wcześniej, nic się nie da zrobić.

Nieco nieśmiało podchodzą też osoby wspierające. Hanka z Warszawy pisze na tablicy: „Bardzo dobra inicjatywa”, bo, dodaje, „jebać PiS” to jednak nie za bardzo o kobietach. - Cieszę się, że dziewczyny tu są. Aborcja powinna być dostępna, kiedy kobieta tego potrzebuje. Nie mówię, że na każde życzenie, ale powinna. A panie w moim wieku to w PRL miały po dwie-trzy aborcje i nic im się nie działo, a teraz najgłośniej krzyczą przeciw. Bardzo mi się to nie podoba.

Aleksandra z Trójmiasta przypina do torby broszkę „Aborcja jest OK”. - Będę z dumą nosić. Nie do końca zgadzam się, że aborcja w każdych warunkach jest OK, nie może być środkiem antykoncepcyjnym, ale jestem wdzięczna ADT za to, co robią. Dla mnie kluczowe jest hasło „Nie chcesz aborcji, to jej sobie nie rób”.

Anna z Gdyni, 30-latką z córką w wieku przedszkolnym, podchodzi z ciekawości, bo,



mówi, takie głośne happeningi jej się kojarzą z przeciwnikami aborcji i pokazywaniem zakrwawionych płodów. – Byłam zaskoczona, że ktoś jest na tyle odważny w tym kraju, by wyjść na ulicę i mówić wprost o aborcji. Podziwiam odwagę. I też uważam, że powinniśmy mieć wybór. Mam dwie córki i chciałabym, żeby w przyszłości nikt za nie nie decydował.

„Czekałam, byłam spokojna i najbardziej na świecie martwiłam się tym, że leki mogą nie zadziałać. Nie bałam się bólu, krwawienia, powikłań. Bałam się niepowodzenia. Byłam sama w domu, za ścianą w sypialni spał mój mały synek, a ja właśnie zaczęłam odczuwać pierwsze skurcze, pojawiła się krew, na którą czekałam. Wkrótce nastąpił upragniony finał, a ja z całą pewnością mogłam stwierdzić, że intruz jest już na zewnątrz. Ból był umiarkowany, a krwawienie tylko przez moment silne, później organizm zaczął się wyciszać, a ja czułam coraz większą ulgę”, niesie się z głośnika.

Po obiedzie Aborcjy Dream Team instaluje się na gdyńskim Skwerze Kościuszki, tuż przy fontannie. Stolik ADT znów nie cieszy się większym powodzeniem – niezbyt liczni klienci pobliskich kawiarni ograniczają się do obserwowania, a przechodnie podchodzą z rzadka i nie zawsze z wyrazami poparcia. Mężczyzna wyrywa Lidii Makowskiej z Trójmiejskiej Akcji Kobiecej mikrofon i mówi: – Chyba za dużo na słoneczku stałaś, bo pieprzysz głupoty.

– A idź pan – odpowiada Makowska. Roweryzista z trzylatkiem w foteliku pyta po angielsku, czy muszą takie rzeczy mówić w miejscu, gdzie są dzieci. – Kask dziecku załóż! – krzyczy za nim Jelińska. – Ojciec roku się znalazł.

Broniarczyk: – Za to cenię Warszawę. Tam faceci się nie odzywają. Tam od razu rzucają racami. Przynajmniej jakiś konkret.

Marzena z Malborka kupuje plażowy ręcznik z logo ADT. Wybierac pomaga jej dorosły syn Boguś. – Wzięliśmy, żeby używać, jak najbardziej. Ja nigdy aborcji nie miałam, i bardzo się cieszę, bo byłoby mi na pewno bardzo trudno. Kobieta wiąże się z płodem od samego początku, im jest większy, tym kocha się go bardziej. I to nie jest też tylko kwestia ciała kobiety, bo to dziecko ktoś zrobił.

Boguś: – Ale kobieta je nosi.

Marzena: – To jest wszystko trudne. Ale powinien być wybór. Ja jestem za wyborem.

Boguś: – Każdy ma prawo decydować sam o własnym losie. Najgłośniej przeciwko aborcji krzyczą mężczyźni, którzy tak naprawdę mają gówna do tego. To nie jest twój problem, facet, zainteresuj się sobą.

Malwina z Gdyni, w wysokiej ciąży i z pięcioletnią może córką, bierze ulotkę z numerem telefonu. – Wzięłam, bo chciałabym mieć kontakt do kogoś, kto mógłby mi pomóc w ra-

zie sytuacji takiej, jak miały niedawno miejsce. A lekarzom nie ufam – łamię jej się głos. – Boję się. Po prostu boję się być w ciąży. Nie planowałam jej, mam dwójkę dzieci, ją i w domu siedmiomiesięcznego syna, i boję się, że coś może pójść nie tak. A w Polsce nie uzyska się pomocy bez instytucji, które nie są związane z państwem.

W sobotę Aborcjy Dream Team ustawia się na placu Przyjaciół Sopotu. Po lewej koricówka Monciaka, po prawej Dom Zdrojowy, po placu krążą sprzedawcy balonów i pluszowych gęsi. Żar się z nieba leje, atmosfera kurortu w pełni lata. Dziewczyny zapomniały doładować baterii w głośniku, więc z mikrofonu korzystają oszczędniej, co okazuje się dobrym rozwiązaniem: przechodnie podchodzą do stolika chętniej i biorą więcej gadżetów.

Krzysztof, lat 50, zgarnia kilka wlepek. – Pojutrze jadę do Rzeszowa, to wszystkie znaki okleję po drodze.

– A gumki potrzebne? – pyta Anna Prus.

– A darmowe? To pewnie.

Krzysztof podszedł z ciekawości. – Ale jeśli chodzi o aborcję, ja też jestem przeciwko

Byłam zaskoczona, że ktoś jest
na tyle odważny w tym kraju,

*żeby wyjść na ulicę
i mówić wprost o aborcji*

temu, co pan Kaczyński zrobił. Jeżeli dziecko ma się chore urodzić, to ja jestem za tym, żeby matka je usunęła, bo ono jest skazane na cierpienie. Uważam, że między ludźmi jest tak samo jak między zwierzętami. Silniejsze przeżyje, słabsze nie.

Leszek i Małgosia, też w średnim wieku, podeszli do stoiska ADT dwa razy. Za pierwszym razem Leszek przyczepił do swojej czarnej koszulki brokatową przypinkę „Aborcja jest OK”, za drugim przebrał się w T-shirt „Pomagam w aborcjach” i dumnie pozował do zdjęcia. – Aborcja była, jest i będzie zawsze. W tym kraju nie ma opieki, dziecko rodzi się chore i matka zostaje z nim sama całe życie. To jest chore. Urodzić dla urodzenia. Czas skończyć z tym średniowieczem – mówi.

– I pójdzie pan w tym stroju na plażę?

– Nie ma problemu. Chyba że ktoś da mi w mordę, w tym kraju wszystko jest możliwe.

Tosia, Lena i Maja mają po 14 lat, przyjechały z Warszawy, mówią jedna przez drugą, wszystko im się podoba. Wlepki cudowne, przypinki wspaniałe, plakaty mega – zappełniły

pół plecaka. – Bo będziemy to szerzyć. Dawać innym ludziom. Wspierać – deklarują. – Aborcja jest czasem potrzebna, bo dziecko może być niechciane albo wychowane w złych warunkach. Chodzi o to, żeby nie mówiono, że to jest coś strasznego.

– A nie jesteście aby za młode na takie materiały?

Dziewczynom udaje się nie przewrócić oczami. – Niektórzy uważają, że tak, inni, że nie. To tak samo jak zabezpieczanie podczas seksu. Trzeba wiedzieć, jakie mogą być skutki.

Ostatni przystanek w Trójmieście to plaża w Brzeźnie i gdańska starówka. Aborcjy Dream Team zrezygnował z mikrofonu, postawił na wręczanie ulotek z tekstem „Dzień dobry, pomagamy w aborcjach”. Prus: – Ludzi to wytrąca z równowagi. Nie wiedzą, że tak można. Część wybuchu histerycznym śmiechem, ale największy odsetek bierze.

Emerytki mówią: „To już nie dla mnie”. Słyszą, że może komuś innemu się przyda. „Ale my chcemy mieć wnuki” – odpowiadają dwie panie. Mężczyzna z wózkami wskazuje na dziecko i mówi: „Za późno”. Niektórzy

rzucają w biegu „Superakcja”, inni podchodzą i rozmawiają. Dzieci zgarniają wlepki, a potem pytają mam, co to ta aborcja. Ośmiolatka na tablicy „napisz nam coś miłego” dopisuje: „Wakacje są super”. Licealistka deklaruje, że wstawi zdjęcie różowego pudełka z napisem „tabletki aborcyjne” na Instagrama. Hitem jest kolo fortuny – jak dobrze zakręcisz, mo-

żesz wygrać bluzę „Pomagam w aborcjach”. A największym magnesem – informacja, że wszystkie gadżety dostępne są ZA DARMO.

Przeciwnicy aborcji również podchodzili, choć rzadziej. Kobiety najczęściej mówiły, że aborcja to morderstwo i że aktywistki powinny się wstydić, a przynajmniej nad sobą zastanowić. – Zróbcie plakat „Promujemy zabijanie dzieci”. Współczuję braku sumienia – rzuciła jedna z nich. Mężczyźni z kolei chętnie wyjaśniali dziewczynom z ADT, że się mylą, a poza tym nie mają pojęcia, o czym mówią. Bo, jak przekonywał emeryt na Skwerze Kościuszki, powinny mówić o syndromie post-aborcyjnym, który dotyka każdą, ale to każda kobietę, która przerwała ciążę.

Broniarczyk, pokazując na koleżanki: – Ja przerwałam, ona przerwała, ona też, trzy razy. I jakoś żadnego syndromu nie mamy.

– Ale będą panie miały. Aborcja to tragedia Wydrzyńska: – Dla mnie nie była.

– Pani tego syndromu nie uniknie. To jest syndrom śmierci, którą nosi pani w swoim łonie. To wraca, nawet po 20, 30 latach.

Wydrzyńska: - Ja mam 50 lat, jestem 20 lat po aborcji i jakoś nie wraca.

- Pani nie ma 50 lat.

- Ale co, dowód mam panu pokazać?

- To wróci na łożu śmierci.

Inny zatroskany mężczyzna podszedł do stoiska powiedzieć, że jest większy problem od zakazu aborcji: właśnie przeczytał, że młode kobiety głosują na Konfederację, a „wy musicie z koleżankami przede wszystkim coś z tym zrobić, bo ja do nich nie dotrę”.

Były też skargi na hałas. - Człowiek przyjechał na wakacje, a musi was słuchać, czy chce, czy nie chce - narzekła rowerzystka. Farmaceutce z Gdyni przeszkadzało z kolei, że ADT rozprowadza leki bez licencji. - Proszę udostępnić dokumenty rejestracji. Ja jestem za wolnością i demokracją, nie mam żadnego politycznego interesu, ale nie można mówić, że arthrotec i cytotec to środki poronne.

Broniarczyk: - Misoprostol do poronień jest rekomendowany przez WHO.

Farmaceutka: - Pani się zajmuje dystrybucją leków bez licencji. Ja tutaj siedziałam dwie godziny i nagrałam, jak nakłaniacie do tego, że za 75 euro można kupić leki, i to bez recepty. Ja nie mam problemu z wyborem kobiet, z ich aborcją.

Broniarczyk: - Tylko ma pani problem z tym, żeby kobiety same brały misoprostol.

Farmaceutka: - A znasz działania uboczne?

Broniarczyk: - Tak, bo brałam

Farmaceutka: - A co to jest za dowód dla mnie? Żaden.

Sympatia dla inicjatywy Aborcyjnego Dream Teamu okazała się nadszpejowanie ponadklasowa i międzypokoleniowa, choć tu też można wyróżnić kilka podgrup. Najmłodszy, nastolatki i dwudziestoparolatki, są najbardziej progresywni: śledzą ADT w mediach społecznościowych i uważają, że kobieta - czasem poprawiają na: osoba, która może zająć w ciąży - ma prawo do decydowania o własnym ciele i własnym życiu. Karolina z Warszawy: - Aborcja w Polsce nie jest OK, a powinna być. To powinno być prawo człowieka, prawo każdej kobiety, każdej osoby, która tego potrzebuje. To nie jest nie wiadomo co. To po prostu zabieg, który ratuje życie.

Daria i Oliwia: - Czy aborcja jest dla nas problemem moralnym? Totalnie nie. Każdy powinien mieć prawo wyboru. Każdy powinien decydować o sobie.

Dziewczyny czasem dodają, że dobrze wiedzieć, iż w razie wpadki albo komplikacji mogą na kogoś liczyć. 18-letnia Zuzanna: - Boję się, że gdybym zaszła w ciążę, to nie byłoby odwrotu, a mam przed sobą całe życie i chciałabym zrealizować coś jeszcze bez dziecka. Więc fajnie, że istnieje coś takiego jak ADT, to takie zabezpieczenie w razie czego.



Kacper i Martyna, oboje z Trójmiasta, wzięli wlepki - „żeby ten numer był wszędzie i żeby kobiety wiedziały, że mogą liczyć na wsparcie i że nie są same”. Kacper: - Sami planujemy przyszłość w tym kraju. Moja ciocia, do której dziś idę na herbatkę i ciasteczko, zrobiła aborcję w latach 80. Wiem, że ona też by chciała, aby każda dziewczyna, która tego potrzebuje, mogła ją zrobić.

Martyna: - Poza tym to jest podstawowe prawo: móc decydować o swoim ciele. A dziś nam tego odmawiają, zmuszają, żebyśmy schodzili do podziemia. Nie możemy przerwać ciąży w szpitalu, normalnie, legalnie. To nie do pomyslenia.

Ulotki i wlepki biorą jednak głównie dziewczyny, chłopców bardziej interesują darmowe gumki. Kibice KS Gliwice nie żałują sobie prezerwatyw, ale obiecują też okleić wlepkami pociąg, którym będą wracać do domu.

Jednak także wśród najmłodszych par osób dowiedziało się czegoś nowego. 22-letnia Olga z Gdyni: - Usłyszałam od dziewczyn, że jak kobieta po prostu nie chce mieć dziecka, to może przerwać ciążę tabletkami. Nie sądziłam, że to jest możliwe. Ale w moim środowisku większość jest absolutnie przeciwna aborcji. Dlaczego ja nie? Odejście od Kościoła odmieniło moje myślenie, otworzyłam się na coś, co wcześniej uważałam za totalnie złe. Ale nie wiem, czy odważę się założyć koszulkę.

Poparcie dla aborcji na żądanie największe jest wśród 20- i 30-latków. Osoby w średnim wieku i starsze poparcie dla liberalizacji dostępu do aborcji łączą z silną antypatią wobec partii rządzącej. Częściej też uważają, że aborcja powinna być uregulowana: dopuszczając wyjątek wad płodu, życia i zdrowia kobiety, gwałtu i trudnej sytuacji życiowej. Nina: - Mamy inne poglądy niż obecnie rządzący, nie akceptujemy ich dominacji i powrotu do zamordyzmu wobec kobiet. Jeśli popieramy aborcję, to też przeciwstawiamy się temu kretyńskie-

mu mówieniu, że kobiety dają w szyję i nie chcą rodzić dzieci. Niech stworzą warunki dla kobiet, by czuły się bezpiecznie. Jako matki zawsze będziemy popierać takie akcje.

Podchodziły też rodziny wielodzietne. Ewa i Lena - czekoladowa opalenizna, aksamitne rzęsy - zakreśliły kołem fortuny i pogratulowały inicjatywy. Ich dzieci, od maluchów w wózku do nastolatki, poczęstowały się wlepkami. Lena: - Jesteśmy samotnymi mamami. Jest ciężko, mam czwórkę dzieci i po prostu nie wyobrażam sobie mieć kolejnego. Każdy powinien mieć wybór. Do trzeciego miesiąca na pewno. I nie gdzieś w podziemiu, tylko normalnie, u lekarza, żeby nie zagrażało mojemu zdrowiu i nie kupować tego na czarnym rynku.

- Niektórzy podchodzą i mówią, że o aborcji nie powinno się mówić w miejscu, gdzie są dzieci, ale paniom to nie przeszkadza?

Ewa: - Ja uważam, że powinno się edukować i uświadamiać od najmłodszych lat. Moja 13-letnia córka powinna wiedzieć, że jest możliwość aborcji.

Lena: - Ja się wychowałam z ojcem, który mnie trzymał krótko i temat seksu był tabu. A jak wszedłam w świat nastolatek, to jak zerwana z łańcucha, bez świadomości, bez wiedzy, że trzeba się zabezpieczać - i skończyło się ciążą w wieku 18 lat. Dzieci trzeba uświadamiać i dawać im wsparcie.

A Małgorzata Koszulka „Pomagam w aborcjach” założyła od razu, na własny T-shirt. Mocno się opięła na jej ciężarnym brzuchu. Z rodziną - pięcioro dzieci, szóste w drodze - pozowała dziewczynom z ADT do zdjęcia. - Założyłam, bo się tego nie wstydę i jestem za tym, że kobiety powinny same podejmować decyzje. Bo jeśli ktoś za mnie decyduje i mówi mi, co mogę robić, to ja się czuję tak, jakbym siedziała w więzieniu. ♦



Nadia Tereszkiewicz jako Madeleine, Isabelle Huppert jako Odette i Rebecca Marder w roli Pauline w filmie „Moja zbrodnia”

FILM

Zbrodnia nie popłaca?

Nowa sprawa trafia na paryskie kolumny sądowe. Kolejny raz chodzi o kobietę! Madeleine Verdier, której broni młoda, niedoświadczona adwokatka, rzekomo zabiła w luksusowej willi w Neuilly znanego producenta Montferranda – grzmi lektor kroniki wydarzeń. Jest Paryż, połowa lat 30. ubiegłego wieku. Madeleine (Nadia Tereszkiewicz) jest początkującą aktorką, która próbuje dostać rolę w sztuce, żeby zarobić na życie. Mieszka na poddaszu kamienicy razem ze swoją przyjaciółką Pauline (Rebecca Marder), świeżo upieczoną adwokatką. Obie biedne jak kościelne myszy, zalegają z opłatami za czynsz i próbują przekonać właściciela mieszkania, żeby nie wyrzucił ich na bruk.

Kiedy policja odnajduje zwłoki Montferranda, przy których nie ma 300 tysięcy franków wypłaconych mu tego samego dnia rano, podejrzanie pada m.in. na Madeleine, która zaledwie godzinę wcześniej była umówiona z producentem na spotkanie. Dziewczynom grozi eksmisja, przydałby im się więc i rozgłos, żeby mogły zacząć kariery, i dach nad głową – niekoniecznie więzienny, ale w sytuacji, w której się znalazły, i ten wydaje się wybawieniem. Zwłaszcza że może się okazać tylko chwilowy. Pauline wpada bowiem na szalony pomysł i namawia przyjaciółkę, by ta przyznała się do zbrodni, a ona wybroni ją w sądzie. Coś, co zapowiadało się na katastrofę i tragedię, dla młodych paryżanek okazuje się wybawieniem. Zgodnie z przewidywaniami Pauline Madeleine zostaje ułaskawiona, obie stają się sławne i rozchwytywane. Dość nieoczekiwanie jednak pojawia się problem. Ktoś przecież naprawdę zabił Montferranda i co więcej, też liczy na rozgłos i wyciągnięcie z odmętów zapomnienia.

Scenariusz do filmu „Moja zbrodnia” wyreżyserowanego przez François Ozona jest luźno oparty na sztuce „Mon crime” Georges’a Berra i Louisa Verneuil’a z 1934 r. i być może dlatego przypomina nieco spektakl teatralny. Ozonowi udało się urocza komedia w stylu retro z przebojowymi, pomysłowymi głównymi bohaterkami, która klimatem zbliżona jest do jego „Ośmiu kobiet”. Reżyser wplótł tam też kilka odwołań do klasyki kina i wspomina prawdziwe zbrodnie popełnione przez kobiety we Francji w tamtych czasach.

Trzeba pamiętać, że prawa kobiet w latach 30. we Francji były mocno ograniczone, głosować mogły dopiero od 1945 r. Film niesie więc też subtelny, choć gorzki przekaz. Kiedy Madeleine wygłasza swoją teatralną przemowę, dzięki której ma zostać uniewinniona, przekonuje: „Czy nie mogłoby się zdarzyć w 1935 r., żeby kobieta układała karierę i swoje życie bez ograniczeń, przy pełnej wolności i pełnej równości?”. Bolesnie zdajemy sobie wtedy sprawę z tego, że takie samo zdanie mogłoby paść i w roku 2023. „Moja zbrodnia” pokazuje, jak władza i pleć idą w parze i jak w zależności od potrzeb można i jednym, i drugim posłużyć się do manipulacji. Tereszkiewicz i Marder stanowią zgrany duet, który i bawi i wzrusza. Świetna jest też rola Isabelle Huppert inspirowana życiem Sarah Bernhardt. ♦ (Joanna Wróżyńska)

„MOJA ZBRODNIA”, reż. François Ozon, wyst.: Nadia Tereszkiewicz, Rebecca Marder, Isabelle Huppert, Fabrice Luchini. W kinach

FILM

Motocyklowe rodeo



Pełnometrażowy debiut francuskiej reżyserki Loli Quivoron miał premierę w Cannes, gdzie pokazywano go w sekcji Un Certain Regard i gdzie zdobył nagrodę Coup de Coeur. To historia Julii (w tej roli Julie Ledru, bikerka wypatrzona przez Quivoron na Instagramie), dziewczyny z paryskich przedmieść, dla której najważniejsza w życiu jest jazda na motocyklu typu dirt bike. Kiedy bike Julii zostaje skradziony, to tak, jakby straciła kończynę, ale szybko wynajduje na to remedium. Sprawdza oferty na eBayu i bez skrupułów kradnie motor od naiwnych sprzedawców. Życiowa pasja prowadzi ją do ultramęskiego świata motocyklistów, którzy szlifują swoje umiejętności podczas tzw. rodeo, kradną motory na zlecenie i je przerabiają. Nie wszyscy ją tam akceptują, ale Julia ma dzikie serce i twarzą inną część ciała i nie przejmują się tym, co inni o niej myślą. Jeździ, bo wtedy czuje się wolna. Quivoron spędziła lata, poznając środowisko nielegalnych rodeo na północnych przedmieściach Paryża, zaangażowała też osoby, które nie są profesjonalnymi aktorami, ale bikerami, co potęguje wrażenie autentyczności. Udało jej się uniknąć zarówno gloryfikowania, jak i potępienia młodych ludzi, dla których motocykle są całym życiem. ♦ (Joanna Wróżyńska)

„RODEO”, reż. Lola Quivoron.

W kinach

KSIĄŻKA

Uciec od przeszłości



Ojciec zabiera dwoje nastoletnich dzieci na odludzie, stawia dom obok zagajnika i pla-

nuje spokojne życie z dala od przemocy codziennego świata. Okazuje się jednak, że potwory przeszłości wracają do niego ze zdwojoną siłą. Musi skonfrontować się z samozwańczym zarządcą miejscowości, który bezlitośnie ściąga czynsze i daje zatrudnienie robotnikom, a przy okazji stosuje bandyckie metody. Dzieciaki – chłopak i dziewczyna – chodzą na lekcje do sąsiadki, odkrywają cielesność, podpatrują naturę i próbują odgadnąć myśli swojego ojca, który przez całe życie zajmuje się jednym – walkami na pieniądze. „Elmet” to opowieść o rodzinie, która nie była w stanie uciec przed przeznaczeniem. W tle pojawiają się takie tematy jak: zubożenie społeczeństwa, koniec związków zawodowych i pracy w kopalniach, przemoc na tle seksualnym i klasowa pogarda. ♦ (Arkadiusz Gruszczyński)

„ELMET”, Fiona Mozley, wyd. Pauza, tłum. Łukasz Witczak

SERIAL

Morderstwo nr 3 w Arconii



„Cztery tygodnie temu, w pełną oczekiwań noc, zmarł Ben Glenroy, supergwiazdor Hollywood. Dwa razy” – zaczyna swój podcast Mabel Mora (Selena Gomez), jedna z trójki podcasterów zajmujących się morderstwami w nowojorskim apartamentowcu Arconia. Serial „Zbrodnie po sąsiedzku” zadebiutował w 2021 r. i stał się przebojem. To przyjemna rozrywka, której gwarantami jest troje głównych bohaterów: wspomniana już Mabel, dziewczyna, która próbuje przeciągnąć nieuchronny moment wejścia w dorosłość, Charles-Haden Savage (Steve Martin),

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

*Ziemi nie nazywam
bóstwa nie nazywam
nie nazywam ja
oleju nie nazywam
maści
ani brudnego morza
Czolo przykładam do bruku
dłonie wywijam w stronę powietrza
do płuc wciągam kurz i wilgoć
spodziewam się ciepła
które popędzi przez ciało*

*Dziecku nadaję imiona
ogień i popiół*

Tłum. Justyna Czechowska

KRISTIN BERGET jest norweską poetką, autorką sześciu książek poetyckich. Powyższy wiersz pochodzi z tomu „a gdy zrobi się jasno będzie fantastycznie” (wyd. Lokator)

MAŁGORZATA HALBER RYSUJE



emerytowany aktor, gwiazda serialu kryminalnego „Brazzoz”, który nie umie pogodzić się ze zmierzchem swojej kariery, i Oliver Putnam (Martin Short), reżyser broadwayowskich produkcji, który lata świetności ma już za sobą. Los połączył ich na korytarzu luksusowego apartamentowca Arconia, w którym mieszkają, a jako dodatkowe spoivo dorzucił podejrzane morderstwo.

Trzeci sezon serialu nie stracił nic z uroku poprzednich. A nawet zyskał, głównie w osobie

Meryl Streep, która gościnnie dołączyła do obsady i znów przypomniła, dlaczego jest uważana za jedną z najlepszych aktorek na świecie. Ale kto, i to dwa razy, zabił Bena Glenroya? Cóż, tym razem Mabel będzie czuła, że na to pytanie musi znaleźć odpowiedź sama, ale czy tego chce, czy nie, Charles i Oliver i tak dorzucą swoje trzy grosze. Podążajcie za wskazówkami, a może zgadniecie sami. ♦ (Joanna Wróżyńska)

„ZBRODNIĘ PO SĄSIEDZKU”, od 8 sierpnia w serwisie Disney+

Szaleństwo *połogowe*

Lekarze mieli władzę „przywracania do rozumu” kobiet, które według nich popadały w „szaleństwo połogowe”. Jak? Torturowali je

TEKST KINGA ELERT

W

W 1838 roku 20-letnia E.E.L. została przyjęta na oddział szpitala Bethlem w Londynie dziesięć dni po urodzeniu drugiego dziecka, które karmiła piersią. Pacjentka była niepokojna, niszczyła ubrania, kładła się na podłodze, jej mowę – co od razu stwierdzili lekarze – charakteryzowała „niespójność”. Opowiadała, że ma tysiąc dzieci. Nie był to pierwszy przypadek. Wiktorianscy psychiatrzy i położnicy znali „szaleństwo połogowe” od lat i potrafili skutecznie „przywrócić kobiety do rozumu”, czyli spokoju, posłuszeństwa i rezygnacji. Na czym polegała terapia?

W ramach leczenia E.E.L. zastosowano golenie głowy, na którą nałożono okrycie wypełnione lodem lub alkoholem z octem, aby zmniejszyć „pobudzenie”. Podano jej także środki przeczyszczające; zwykle stosowano chlorek rtęciawy – środek toksyczny, który wybarwiał stolec na czarno, co lekarze brali za dobrą monetę: zgodnie z teorią humorálną pozbawiał on organizm czarnej żółci. Dziś wiemy, że środek ten, podawany w celu uspokojenia pacjentek, powodował takie skutki uboczne jak wymioty, uszkodzenie mózgu oraz nerek.

U niektórych pacjentek do oczyszczenia jelit używano oleju rycynowego lub lewatyw z terpentyny. W przypadku E.E.L. pomocne miały się okazać również ciepłe kąpiele na przemian z biczem zimnej wody aplikowanym 20 razy. Psychiatra był zadowolony, gdy stwierdzał, że u pacjentki stadium manii świadczące o szaleństwie połogowym zastąpiła demencja, czyli „przywrócenie do rozumu” (posłuszeństwa i rezygnacji). Szalona kobieta i zła matka została wyleczona.

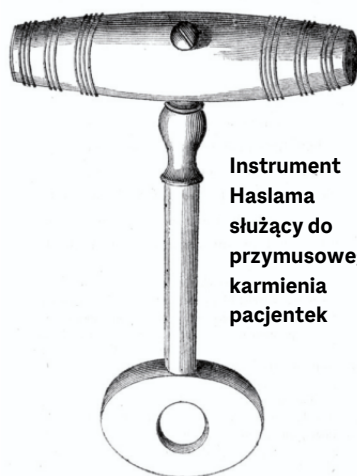
„PRZYWRACANIE DO ROZUMU”

U 33-letniej E.I. również stwierdzono objawy „manii połogowej” trzy dni po urodzeniu pierwszego dziecka. Pacjentka była blada, raz wycofana, raz gwałtowna, krzyczała, próbowała wyskoczyć przez okno. Podobnie jak w przypadku E.E.L. lekarze stwierdzili, że mowa kobiety była „niespójna”. „Mówiła, że jest dziwna, że jest szalona, że powinna zniszczyć swoje dziecko lub poderżnąć sobie gardło”. Pacjentkę unieruchomiono za pomocą jednopalcowych rękawic mocowanych w pasie i metalowych kajdan. Przypadki bardziej gwałtownej „manii” „leczono” w ten sposób, że wywoływano pęcherze ropne na karku, utrzymywane za pomocą maści saviene. Miało to ponoć dobroczynny wpływ na układ maciczy.

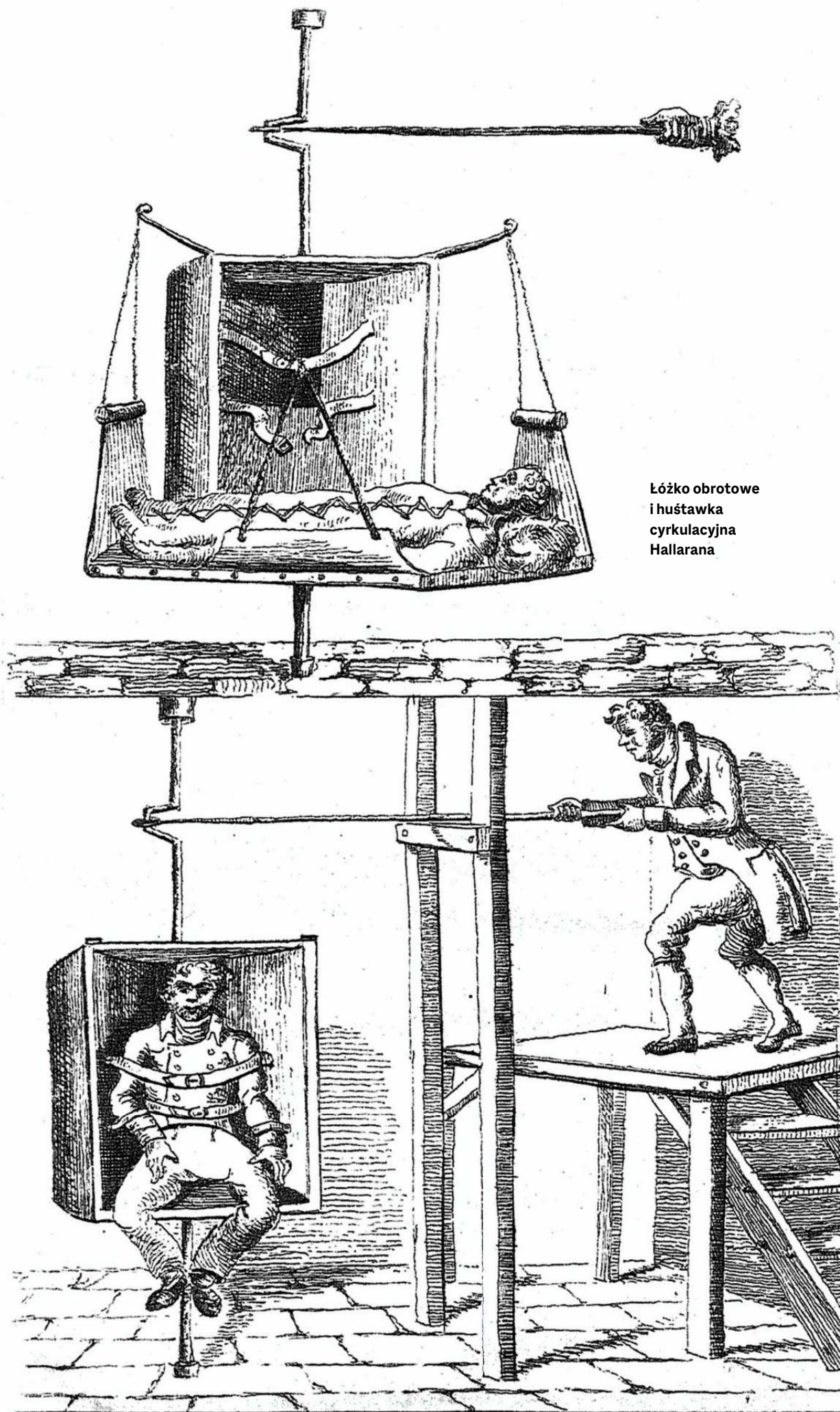
Stosowano i bardziej radykalne metody. Na przykład przymusowe karmienie, gdyż odmowa przyjmowania jedzenia była traktowana jako objaw „szaleństwa”. John Haslam pracujący w szpitalu Bethlem w książce „Observations on Madness and Melancholy” (1809) wspominał o specjalnym, „diabelskim” instrumencie zwanym „tryskającą łodzią”. Urządzenie, przypominające kształtem sosjerkę z płaskim dzióbkiem, umożliwiała wejście do jamy ustnej. W konsekwencji pacjentki wracały do domów bez przednich

zębów górnych i dolnych. Jak podaje Michel Foucault, wcześniej w celu rozwarcia jamy ustnej używano specjalnego klucza. Haslam wynalazł więc „mniej inwazyjny” instrument do przymusowego karmienia. Użycie go wymagało „umieszczenia głowy pacjentki między kolanami osoby, która miała posługiwać się instrumentem”, podczas gdy drugi pomocnik trzymał ręce odpornej lub nakładał jej kaftan bezpieczeństwa, a trzeci przytrzymywał nogi. Lekarz zalecał zasłanianie oczu w trakcie przymusowego karmienia. Z dumą przyznawał, że od wprowadzenia nowego instrumentu nikt nie został pozbawiony zębów. Uciekano się także do używania pompy żołądkowej. Przymusowe karmienie stosowano czasami „profilaktycznie”, aby wzmocnić autorytet lekarza i poczucie bezsilności pacjentek, od których oczekiwano absolutnego posłuszeństwa. Z drugiej strony część kobiet trafiała do azyłów w stanie skrajnego niedożywienia i wyczerpania z powodu wielokrotnych ciąż oraz wyniszczającej pracy fizycznej. Sztuczne dokarmianie nie było więc potrzebne.

W niektórych przypadkach pomagało wzbudzanie strachu za pomocą „maszyny obrotowej”. Obracanie ciała w kaftanie bezpieczeństwa, unieruchomionego skórzanym pasem uznawano za metodę leczenia maniaków. Joseph Mason Cox zaprojektował w tym celu specjalne krzesło, nazwane później krzesłem Coxa. Wynalazek miał powodować senność, błogi spokój i uwolnienie od irytacji bez konieczności podania opiatów. W rzeczywistości efekt „uspokojenia” osiągnąć za pomocą gwałtownych zawrotów głowy, wymiotów i utraty przytomności. Psychiatra William Saunders Hallaran zmodyfikował krzesło Coxa tak, iż mogło obracać się aż sto razy w ciągu minuty, nazywając je huśtawką cyrkulacyjną. Hallaran twierdził, że huśtawka stanowiła najskuteczniejszą „metodę ujarzmania wściekłych maniaków”, którzy po terapii stawali się idealnie podporządkowani, posłuszni i chętni do przyjmowania leków.



Instrument Haslama służący do przymusowego karmienia pacjentek



**Łóżko obrotowe
i huśtawka
cyrkulacyjna
Hallarana**

ZRÓDŁO RYCIN: JOHN HASLAM, OBSERVATIONS ON MADNESS AND MELANCHOLY: INCLUDING PRACTICAL REMARKS ON THOSE DISEASES TOGETHER WITH CASES. AND AN ACCOUNT OF THE MORBID APPEARANCES ON DISSECTION (1809), WILLIAM HALLARAN, PRACTICAL OBSERVATIONS ON THE CAUSES AND CURE OF INSANITY (1818)

W szpitalach stosowano także środki uspokajające (m.in. wodzian chloralu), niekiedy chloroform, opiaty, morfinę. Popularne było upuszczanie krwi z tętnicy skroniowej. Gooch w 1832 roku opisywał przypadek młodej kobiety, której dwa tygodnie po porodzie dwukrotnie upuszczano krew z głowy za pomocą tzw. szklanych baniek. Pacjentka zmarła. Z kolei Esquirol wspominał o przystawianiu pijawek do sromu w celu przywrócenia „wydzieliny połogowej”. W latach 1870-91 praktykowano chirurgiczne metody leczenia „szaleństwa połogowego”, czyli operacje usunięcia jajników lub macicy.

REŻIM MORALNY

Wszystkie te metody nazywano „terapią moralną” lub „reżimem moralnym”, bo miały one na celu przywrócenie szalonej kobiety społeczeństwu; wciśnięcie niechętnych macierzyństwu matek do roli matki wzorcowej - pełnej poświęcenia, troski, posłusznej, bezsilnej. Patologizacja, medykalizacja i przymus były częścią systemowej przemocy. Przejawem patriarchalnej władzy, kontroli i nadzoru nad ciałami oraz życiem kobiet. Lekarze nie mieli związanych rąk, lecz nieograniczone możliwości „zarządzania”: korekty, usuwania, socjalizowania, definiowania „natury” i przeznaczenia kobiet. Techniki „ujarzmiania” nieposłusznych kobiet trwały niekiedy miesiącami.

Leczenie mogło również odbywać się w domu. Ale i wówczas obowiązywała zasada separacji od rodziny, czyli męża i dzieci. Zamożnym kobietom radzono wyjazd z dala od domu rodzinnego lub chociaż wydzielenie w nim osobnej części. Patriarchalną władzę męża zastępował autorytet lekarza, a powodzenie terapii było uzależnione od posłuszeństwa pacjentki. Moralny reżim domowy sprowadzał się do całodobowej obserwacji chorej, unikania ekscytacji, obfitego karmienia, izolacji, usunięcia wszystkich potencjalnych przedmiotów samookaleczenia, czyli igieł, nici, rajstop czy sztućców, zabicia okien gwoździami. Przybliżoną atmosferę takiego leczenia oddała pisarka Charlotte Perkins Gilman w opowiadaniu „The Yellow Wallpaper” (1892). W ramach „reżimu moralnego” lekarz zalecił jej po urodzeniu dziecka „terapię spoczynkową”, która wykluczała czytanie i pisanie. Pacjentka mogła jedynie jeść, spać, wyglądać przez zakratowane okna i kontemplować tapetę w kolorze siaraki, co, jak pisała Gilman, faktycznie prowadziło do szaleństwa.

Angielska pielęgniarka Florence Nightingale twierdziła, że szpitale psychiatryczne, gdzie leczono „połogowe szaleństwo”, nie różniły się niczym od struktury burżuazyjnej rodziny. I tam, i tu od kobiet wymagano całkowitego posłuszeństwa wobec męża lub



W stadium „manii
połogowej”



Osiem tygodni
po przyjęciu do azylu



„Przywrócona do rozumu”

psychiatry. Według Nightingale kobiety z klasy średniej stały się Kasandrami traktującymi szaleństwo jako jedyną dostępną strategię oporu w warunkach zupełnej bezsilności.

PATOLOGICZNE MACIERZYŃSTWO?

Jak psychiatrzy i położnicy definiowali „szaleństwo połogowe”? Przede wszystkim jako zmiany funkcjonalne w mózgu wywołane porodem. Ciężę, poród, połóg i laktację wiązano - ogólnie - z podatnością na „szaleństwo”. Lekarze rozpisywali się na temat patologicznych zachowań matek: „Była czasami dość agresywna i nie do opanowania oraz okazywała silną niechęć do swoich dzieci, chociaż naturalnie była bardzo chającą matką”.

Termin „szaleństwo połogowe” wprowadził brytyjski lekarz położnik Robert Gooch w pracy „Observations on Puerperal Insani-

ty” (1820). „Szaleństwo” przyjmowało postać manii lub melancholii, a najczęściej obie, lecz naprzemiennie, w różnych odstępach czasu. Manię zwykle charakteryzowała silna niechęć do męża i noworodka, odmowa zajmowania się dzieckiem, mówienie o potrzebie skrzywdzenia jego lub siebie, niszczenie ubrań, próby wyskoczenia przez okno, a także niespójność mowy, drażliwość, napady gniewu i agresji, krzyk, urojenia, przeklinanie (!), upór. Symptomy melancholii obejmowały natomiast bezsenność, problemy z koncentracją, zaniki pamięci, niepokój, bóle głowy, smutek, urojenia o charakterze religijnym, niechęć do jedzenia, obojętność, anhedonię, dezorientację przypominającą stan żałoby, skłonności samobójcze. Mania, choć gwałtowna, miała charakter przejściowy. Melancholia, jak twierdził Gooch, stwarzała mniejsze zagrożenie dla życia, ale większe dla rozumu, ze względu na długi czas trwania choroby.

W 1832 roku Gooch opisywał przypadek 29-letniej kobiety, która przeżyła kilka martwych porodów: „Był to ciekawy widok widzieć ją siedzącą na łóżku, z otwartymi oczami, wpatrującą się bez życia, z rozpostartymi ramionami, ale bez widocznych oznak ożywienia; była bardzo chuda i blada, wyglądała jak trup podparty i zeszywniała w tej postawie”.

Wymieniano trzy etapy „szaleństwa połogowego”: „szaleństwo w ciąży”, „szaleństwo połogowe” i „szaleństwo laktacyjne”. Kobiety w ciąży miały wykazywać skłonności samobójcze i silne „impulsy zabicia dziecka”. Objawy ustępowały po przerwaniu ciąży. Lekarz James Reid wspominał młodą pacjentkę przyjętą do azylu w szóstym miesiącu ciąży, która straciła głos i „miała tak ohydny wygląd”, że inni pacjenci nazwali ją wampirem. Terapia odniosła pomyślny efekt, gdyż pacjentka urodziła dziecko.

„Szaleństwo połogowe” dotyczyło wszystkich białych kobiet bez względu na klasę społeczną. Leczone zarówno „pierworódki”, jak i kobiety, które rodziły wiele razy. Historie reprodukcyjne kobiet były różne: niektóre porody przebiegały bez komplikacji, inne na granicy śmierci z powodu krwotoku lub zakażenia. Lekarze odnotowywali także martwe porody, poronienia, porody kleszczowe, utratę jednego lub więcej dzieci. „Szaleństwo laktacyjne”, zgodnie z teorią środowiskową, lekarze łączyli z ubóstwem i zbyt długim okresem laktacji, co wkrótce miało doprowadzić do stygmatyzacji matek z klasy robotniczej. Początkowo jednak lekarze wierzyli, podobnie jak w starożytności, że mleko może dawać „przerzuty” i napływać do mózgu (teoria skazy mlecznej). Z tego powodu podczas autopsji szukano mleka w mózżgach denatek, u których przed śmiercią stwierdzono „szaleństwo połogowe”.

Pomimo niedożywienia wiele kobiet nadal karmiło swoje dzieci piersią, niekiedy kilkoro jednocześnie. Większość kobiet przyjmowanych do Warwick County Lunatic Asylum w XIX wieku cierpiała z powodu niedożywienia, owrzodzeń, ropni skóry, nóg i zębów. W takim stanie została w 1864 roku przyjęta do azylu 33-letnia Emma Walker. Dla kobiet pracujących w domach i fabrykach do ostatniego dnia ciąży, na wpół zagłodzonych, cierpiących z powodu przemocy domowej i seksualnej - azyl stanowił niekiedy jedyne miejsce schronienia. W „Maternity: Letters from Working Women” (1915) kobieta i matka pytała: „Czy możemy się dziwić, dlaczego tak wiele zamężnych i pracujących kobiet przebywa dziś w azylach?”. Inna kobieta, 30-letnia, pisała, że nic się nie zmienia, dopóki mężczyzna nie zrozumie, że ciało kobiety należy do niej. Kobiety wyznawały,

że żadne zwierzę nie wytrzymałoby warunków, w jakich muszą żyć.

KOBIECOŚĆ PRAWDZIWA

„Przywrócenie do rozumu” lub „rozsądku” rozumiano jako przywrócenie prawdziwej „kobiecości”. Kobiety, które podważały wiktoriański model socjalizacji, ideał uległej, samopoświęcającej się i udomowionej matki, stawały się „nienaturalne”, czyli „szalone”. Rozum utożsamiano bowiem z ładem panującym w nuklearnej rodzinie. Za pomyślny skutek terapii uważano kolejny poród bez nawrotu choroby. Jak ironicznie stwierdziła filozofka i feministka Mary Daly, szpitale były bardziej subtelną formą sprawowania władzy niż palenie na stosie, gdyż „niszczyły jedynie umysły - zdolność do kreatywności, wyobraźni i buntu - pozostawiając nienaruszone ręce i macice”, czyli to, co niezbędne do pracy fizycznej i reprodukcji.

Esquirol stwierdzał, że liczba kobiet, które zapadają na szaleństwo po porodzie lub w trakcie laktacji, jest znacznie większa, niż się powszechnie uważa. Lekarze dostrzegali tzw. przyczyny moralne, czyli ubóstwo lub nieślubne ciąży. Skrupulatnie notowali dziedziczne predyspozycje, czyli przypadki zaburzeń psychicznych w rodzinie (w linii matki). Przemoc domowa stanowiła jednak problem drugorzędny. Esquirol w „Mental Maladies. Treatise on Insanity” opisywał historię kobiety z „manią połogową”, opa-

Pacjentkę unieruchomiono za pomocą jedenopalcowych rękawic mocowanych w pasie *i metalowych kajdan*

trzoną nazwą „przypadek XII”. Lekarz wyjaśniał, że kobieta była bita i dręczona przez męża, ale jego zdaniem chorobę wywołało to, że przed napadem manii mąż wylał na jej ciało wiadro zimnej wody. Wydzielina połogowa została wówczas zahamowana, a kobieta nigdy nie powróciła „do rozumu”.

Termin „mania połogowa” zniknął z podręczników psychiatrii w 1904 roku za sprawą psychiatry Emila Kraepelina. To on sądził, że poród i połóg nie stanowią bezpośredniej przyczyny, lecz jedynie „impuls”, gdyż choroba musiała istnieć wcześniej w sposób ukryty. Przywoływał historię młodej kobiety, która w ciągu czterech lat od zawarcia małżeństwa urodziła jedno martwe dziecko, drugie zaś zmarło w wieku dziewięciu miesięcy. W trakcie trzeciej ciąży pojawiły się symptomy „szaleństwa”. Kobieta przestała mówić, „nie wykazywała naturalnego zainteresowania czymkolwiek i chciała

wybiec z domu”. Po narodzinach trzeciego dziecka została umieszczona w azylu, gdzie odmawiała jedzenia, i jak podaje psychiatra, po dziewięciu latach stwierdzono u niej objawy demencji. Historia kobiety nie doprowadziła Kraepelina do żadnych wniosków dotyczących instytucji małżeństwa ani macierzyństwa, traumy po stracie dziecka, społecznej i ekonomicznej sytuacji kobiet. Lekarze nie kwestionowali obowiązku macierzyństwa i nie sugerowali konieczności zmian systemowych.

W podobny sposób odnosili się do kobiet, które umierały z powodu gorączki połogowej. To Adrienne Rich pisała o medykalizacji i alienacji porodu oraz lekarzach, którzy w dawne miejsce akuserek przejęli kontrolę nad ciałami kobiet: „We francuskiej prowincji Lombardii w ciągu jednego roku żadna kobieta nie przeżyła porodu; w lutym 1866 roku jedna czwarta kobiet, które rodziły w szpitalu w Paryżu, zmarła”. Gorączkę połogową, przyczynę śmierci filozofki Mary Wollstonecraft, traktowano jako „naturalną” konsekwencję porodu oraz karę za nieposłuszeństwo Ewy. Zakażenie wywoływał jednak trupi jad, który lekarze przenosili z prosektorium na rodzące kobiety. Twórca antyseptyki Ignaz Philipp Semmelweis, otwarcie oskarżał lekarzy o morderczą ignorancję i uprzedzenia skutkujące śmiercią kobiet z klasy robotniczej. Semmelweis zalecał dezynfekcję rąk, co spotkało się z oburzeniem środowiska medycznego. Przy-

czyn szukano w ciałach kobiet, rzekomo podatnych na procesy zapalne i gnilne, zatrucia, zastoje oraz zaburzenia. Tylko ciała kobiet mogły być „nieczyste”, a nie ręce lekarzy.

„Szaleństwo połogowe” mogło także, zdaniem hi-

storyczki Hilary Marland, być następstwem trudnych warunków życia matek. Z pewnością wśród kobiet zdarzały się przypadki depresji poporodowej czy psychozy, jednak nie wyjaśniają one przyczyn „szaleństwa połogowego”. Zarówno lekarze, jak i rodziny pacjentek uczestniczyły w procesie, który można nazwać „mechanizmem degradacji społecznej” w celu utrzymania wydajności reprodukcyjnej białych kobiet. Teoria „szaleństwa połogowego” nie obejmowała bowiem czarnych ani kolorowych matek.

W azylu Colney Hatch Lunatic podczas pożaru 27 stycznia 1903 roku zginęły 52 kobiety pochodzenia żydowskiego (znajdujące się w osobnym bloku). Nie były w stanie uciec z budynku, ponieważ okna były zakratowane i nie przewidziano w nim wyjść ewakuacyjnych, ponadto azyl otaczał wysoki mur zewnętrzny. Do dziś na terenie obiektu nie znajduje się żadna tablica pamiątkowa. ♦



Spa na pastwisku

W drewnianej balii z serwatką tuż przy pastwisku dla krów jest się bliżej natury niż w jakimkolwiek kurorcie

TEKST EDYTA BRYŁA

W planie naszej podróży stało: „Alpejskie wellness i kąpiel w serwatce. Zabierzcie stroje kąpielowe!”. Cóż mogłoby być przyjemniejszego! Kto nie lubi spa? – ekscytowałyśmy się z redakcyjną koleżanką, z którą byłam na wyjeździe.

Przewodnik, gdy zśliśmy do naszego wellness przez las, hamował nasz entuzjizm. – Wiecie, to nie będzie jak hotelowe spa – próbował wyjaśniać. Co więcej, tuż przed kąpielą zapewniał, że możemy jeszcze zrezygnować. Zdziwiło nas to. Ale potem wszystko stało się jasne: całe wellness to stojąca na podwórku drewniana balia, do której wlewa się kilka wielkich baniek podgrzanej serwatki.

I wciąż nie byłoby nic dziwnego w korzystaniu z takiego zabiegu, gdyby nie to, że na zewnątrz było tylko plus osiem stopni i siało. I że nasze spa to tak naprawdę mała serowarnia (produkuje sery wyłącznie dla lokalnych sklepów, hoteli i gastronomii), a naszą kąpiel przygotowywali wąsaty serowar i jego pomocnik, którzy na chwilę musieli oderwać się od swojej zwykłej roboty – produkcji sera.

Ale nie miałyśmy zamiaru rezygnować. Przebrałyśmy się w kostiumy kąpielowe i owinięte ręcznikami pobiegłyśmy mokrym

trawnikiem do naszej balii. Serowarzy wylali na nas gorącą serwatkę i zostawili, byśmy się zrelaksowały. Spojrzałyśmy na siebie: czy to się dzieje naprawdę? Na głowy kapie nam deszcz, jest mgliście i zimno, za towarzystwo mamy pasące się kozy i krowy. Nasz przewodnik schował się pod dachem



KONKURS „NIETYPOWE MIEJSCE NA WAKACJE”

Jeśli wakacje z biurem podróży, w hotelu to dla ciebie marna atrakcja, na urlopie szukasz przygód i w tym celu wybierasz nietypowe miejsca, ten konkurs może być dla ciebie. Opisz najbardziej niezwykłe wakacje. Podziel się z nami pomysłem na urlop w oryginalnym miejscu, które poza odpoczynkiem zapewnia trochę emocji, adrenaliny, przeżyć. Może to być domek na drzewie, szałas, barka czy lodowy hotel za kołem podbiegunowym. Konkurs trwa od 24 czerwca do 31 sierpnia. Żeby wziąć w nim udział, należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie

wysokieobcasy.pl/kobietywpodrozy

i cierpliwie czekał w sztormiaku i kapturze na głowie. Ale nam w cieplej serwatce leżało się bardzo przyjemnie.

Nasze spa znajdowało się w górach, u stóp lodowca Titlis (przy miejscowości Engelberg). Wjeżdża się na niego kolejką i jest to tłumnie odwiedzana atrakcja turystyczna. Na szczyt można dotrzeć obrotową gondolą, jest tam też najwyżej w Europie zawieszony most i fantastyczne widoki. Turyści odwiedzają także lodowy tunel, w którym przez rok utrzymywana jest jednakowa minusowa temperatura.

Tyle że miejsce robi wrażenie mocno komercyjnego i nastawionego na masową turystykę, co wydaje się mało szwajcarskie. Tym większe wrażenie robi wizyta w małym, prostym gospodarstwie serowara, gdzie nic nie jest dla turystów ułożone czy upiękzone. To nie miejsce na pokaz. Prace porządkowe na podwórku nie ustają tylko dlatego, że dwie turystki akurat przyszły wykapać się w serwatce.

Miejsce działa wyłącznie w sezonie – gdy przebywają tu krowy, które wychodzą na łąki w maju, a w doliny schodzą w połowie września. Dopiero wtedy też serowarzy wracają do swoich zwykłych domów.

Serwatki w górskich spa jest dużo, bo to produkt uboczny produkcji sera. Robi się

z niej na przykład odżywki dla sportowców, a w przypadku Szwajcarii także napój Rivella, choć w niczym nie przypomina on produktu z nabiału. Oczywiście jest też zalecana do pielęgnacji ciała i włosów - ma poprawiać ich kondycję, m.in. nawilżając je i wygładzając. Ma też świetnie działać jako tonik i przywracać skórze naturalne pH - stąd popularne są kąpiele w serwatce. Oczywiście kojarzą się też z odmładzającymi kąpielami w mleku. Nasz serowar kokietował: - Dawno już przestałem się starzeć.

Takich wiejskich, minimalistycznych spa nie jest wiele, ale da się je znaleźć. Można się na nie natknąć podczas wędrowki po górskich szlakach. Ta wizyta była dla nas zaplanowana - byliśmy w Szwajcarii na zaproszenie Szwajcarskiej Organizacji Turystycznej.

Ale inni turyści muszą wcześniej takie atrakcje rezerwować. Tego typu spa to mało dostępne i ekskluzywne miejsca - w tym sensie, że są bardzo blisko przyrody i dla małej liczby osób. Warto o nie pytać w lokalnych biurach turystycznych, przez które można zamawiać zabiegi. Trzeba to zrobić z wyprzedzeniem. Serowarzy taką kąpiel muszą wcześniej zaplanować i przygotować - w końcu to tylko dodatek do ich normalnej pracy.

ALP TURNELS

Wybrać się też można do Alp Turnels położonego wysoko nad kurortem Gstaad. Gospodarstwo prowadzą tu od 40 lat Erika i Jakob Zumsteinowie. Przed oborą stawiają 300-litrową balię z serwatką, w której można się moczyć około 20 minut.

Ale oferta jest szersza - można tu przenocować na sianie na strychu nad oborą, a także spędzić kilka dni, włączając się w pasterskie życie gospodarzy i poznając stare metody rzemiosła. I to nie tylko u Zumsteinów, bo cała okolica słynie z gospodarstw ekologicznych. Do każdego można zajrzeć, podglądać pracę farmerów i smakować jej owoce. Na wielu farmach można spać.

ENGADYNA DOLNA

To rejon oddalony od miejscowości turystycznych i kurortów Engadyny Górnej. W jego sercu jest tradycyjne Spa Bogn Engiadina, ale omijamy je i jedziemy do Scuol. Tam będą noclegi w tipi, kąpiele w serwatce, gotowanie nad ogniskiem i masaże, ale też praca nad sobą. Turyści mogą skorzystać z konsultacji dietetycznych i 20 sesji z coachem, które przywracają spokój, siłę i pewność siebie. O ile pogoda pozwoli, wszystkie aktywności przeprowadzane będą na łonie natury.

Ten rejon to też raj dla rowerzystów górskich. W czasie jednodniowej wycieczki można na przykład przejechać przez granice trzech krajów - Szwajcarii, Włoch i Austrii.

BERGLIALP

Gorące kąpiele w serwatce oferuje też gospodarstwo Berglialp. Moczyć się można w ogrzewanej modrzewiowej wannie, także zimą, a do kąpeli można dodać ulubione aromaty.

Rozpościera się tam fantastyczny widok na dolinę, a w nocy - na rozgwieżdżone niebo. „Gwiazdy są tak jasne i bliskie, że ich widok zapiera dech w piersiach” - zachęcają właściciele Heinrich i Ursi Marti-Kamerowie (miejsce należy do rodziny od początku zeszłego wieku). Po kąpeli przygotowują dla gości fondue z alpejskiego sera lub raclette - potrawę przyrządzaną z podgrzewanego nad żarem półtwardego sera i ziemniaków. Miejsca noclegowe są położone tuż obok, w Berghof Gufel. Rano można zjeść obfite śniadanie w przytulnym wiejskim salonie z ciepłym piecem kaflowym. ♦

Wyjazd autorki zorganizowany przez Szwajcarską Organizację Turystyczną MojaSzwajcaria.pl

OGŁOSZENIA

KONKURS

Najdziwniejsze miejsce na wakacje? Domek na drzewie. Szalas. Barka. A może domek lodowy?

Jeśli wakacje z biurem podróży to dla ciebie żadna atrakcja, nie jesteś typem spokojnej działkowiczki, a raczej na urlopie szukasz przygód i wybierasz nietypowe miejsca, ten konkurs może być dla ciebie.

W najnowszym konkursie w ramach cyklu „Kobiety w podróży” chcemy poznać Wasze najbardziej nietypowe miejsca na wakacje. Podzielcie się z nami oryginalną miejscówką, która poza odpoczynkiem zapewnia trochę emocji, adrenaliny, przeżyć. Może to być domek na drzewie, szalas, barka czy hotel lodowy.

NAGRODY:

SUBARU XV na 5 dni z pełnym bakiem



Laptop ASUS Zenbook S 13 OLED

5 zestawów do manicure hybrydowego marki NEONAIL i 5 lakierów z letniej kolekcji You're A Goddess



5 bransoletek srebrnych pozłacanych z kolekcji Simple marki YES



5 zestawów kosmetyków z serii Famille BIO marki YVES ROCHER



KOBIECY
W PODRÓŻY

Konkurs trwa od 24 czerwca do 31 sierpnia. Żeby wziąć w nim udział, należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie wysokieobcasy.pl/kobietywpodrozy.

PARTNERZY KONKURSU:

ASUS

NEONAIL

YES



YVES ROCHER

Brétagne, France

MICHAŁ SŁODOWY

- muzyk, członek zespołu KAMP!
Prowadzi na Instagramie profil
„Z Parku do Parku”, gdzie
promuje polskie parki narodowe.
KAMP! gra pożegnalną trasę
koncertową i wystąpi
m.in. podczas Olsztyn Green
Festival (11-13 sierpnia)



Parki nauczyły mnie pokory

Idziemy w góry za tymi, co idą przed nami. Szczerze przyznam, że dopiero po wizycie w bułgarskich parkach zobaczyłem, jak wygląda niezniszczony szlak

Z MICHAŁEM SŁODOWYM
Z ZESPOŁU KAMP!
ROZMAWIA JUSTYNA GROCHAL

W

Wiesz, tu niedaleko jest bardzo fajny park, może zamiast siedzieć w środku, weźmiemy kawę i pójdziemy tam porozmawiać?

Brzmi jak dobre miejsce na naszą rozmowę. Jak to się stało, że muzyk tworzący elektronikę opowiada o parkach narodowych?

Zaczęło się niewinnie – od trasy koncertowej KAMP! po Kalifornii. W przerwach między koncertami zwiedzaliśmy tamtejsze parki. Zobaczyłem, jak świetnie jest to u nich wypromowane, że jest dumą, jedną z gałęzi turystyki. Pomyślałem, że przecież u nas natura też jest wspaniała, a nic nie wiem o naszych parkach, ktoś powinien zrobić to u nas tak, jak to się robi w Ameryce. Wróciłem do Polski i zapomniałem o całej sprawie na kilka lat. Pomyśl wrócił do mnie, kiedy płynąłem łódką po rzece w peruwiańskim parku Manú Reserva.

Zainicjowałeś projekt „Z Parku do Parku”, w ramach którego promujesz polskie parki narodowe. Nie ma żadnej instytucji, która podejmowałaby takie działania?

Nie ma takiego urzędu, jest Ministerstwo Klimatu, ale oni mają sporo na głowie. Dużo się zmienia, ale finalnie każdy z parków to osobny byt, który promuje się, jak potrafi. Jak zaczynałem, może trzy miały profile na Instagramie. Teraz ich przybywa, pojawiają się parkowe podcasty i to jest bardzo dobre. Dbają o swoje interesy, bo muszą z czegoś żyć. Budżet parku to mniej więcej jedna trzecia pieniędzy z państwa, jedna trzecia z Funduszu Leśnego Lasów Państwowych i jedna trzecia z biletów i innych działalności. No więc

w Tatrach się przelewa, a w tych najmniej odwiedzanych liczy się każdy grosz i na różne sposoby kombinuje, jak spać budżet. To nie jest dobra sytuacja wyjściowa, jeśli głównym celem jest ochrona przyrody. Bądźmy wdzięczni tym ludziom, bo pracują z dużym poczuciem misji.

Jakie były twoje początki?

Wzorem amerykańskim chciałem tylko wydać estetyczny przewodnik do zbierania stempli z parków. Uważałem, że taki gadżet zachęci do jeżdżenia po Polsce. Profil na Instagramie stworzyłem, żeby zbudować społeczność, która będzie korzystała z hashtaga #23PN i później kupi ten produkt. Nie było tak, że stwierdziłem nagle, że zostanę wielkim przyrodnikiem i podróżnikiem.

Wcześniej cię to nie interesowało?

Wychowywałem się w sąsiedztwie lasu, ale zawsze bardziej ciągnęło mnie do miejskich atrakcji. Moje główne cele wyjazdowe to były duże europejskie miasta, galerie sztuki, zabytki, imprezy. Czasami chodziłem w góry, ale nigdy mnie to jakoś mocno nie ekscytowało. Gdy uruchomiłem profil, wszystko się zmieniło. Zacząłem jeździć do parków i to mnie kompletnie pochłonęło, stało się sposobem na życie. Pokazało też, jak mało wiem o przyrodzie. Żeby stworzyć przewodnik, który zresztą ukaże się tej jesieni, chciałem ten temat dobrze poznać. Ani się obejrzałem, a nagle zamiast o piątę rano wracać z imprezy, siedziałem w kaloszach z lornetką na bagnach.

Pewnie musiałeś nadrobić braki w wiedzy?

Tak i – cytując klasyka – cały czas się czegoś uczę. Ale jestem już na etapie, kiedy patrzę na mapę i wiem, co gdzie jest, jakie procesy zachodzą w lesie, w górach, dlaczego są takie warunki pogodowe, a woda płynie tak, a nie inaczej. Układanka w mojej głowie jest coraz bardziej kompletna, ale jakiś czas temu, zgłębiając zawily temat restytucji niepyłaka apollo w Karkonoszach, dowiedziałem się, że orzechy laskowe rosną na olszynie, a to są podstawy.

Na początku miałem duży kompleks autorytetu. Gdy jakiś fotograf przyrody pisał mi w komentarzu, że jest błąd, to w panice kassowałem cały post. W pewnym momencie zrozumiałem, że nie jestem ekspertem i nie muszę nim być. Uznałem, że lepiej będzie przyjąć formę entertainmentu.

Mamy w Polsce 23 parki narodowe. Wydaje się, że to sporo terenów, a później przychodzi taki Michał Słodowy i mówi, że to tylko 1 proc. powierzchni kraju.

Z czego jedna czwarta, czyli 0,25 proc. kraju, objęta jest ochroną ścisłą, tzn. taką, w której nie ma żadnej ingerencji. Do tego jeszcze dochodzą rezerwy przyrody, w których też jest ochrona ścisła. Rezerwy i parki narodowe to razem jedynie 1,5 proc. Polski. To ogromny problem, bo są miejsca, które mogłyby zostać parkami, a obecne mogłyby zostać powiększone, ale od ponad 20 lat to się nie dzieje.

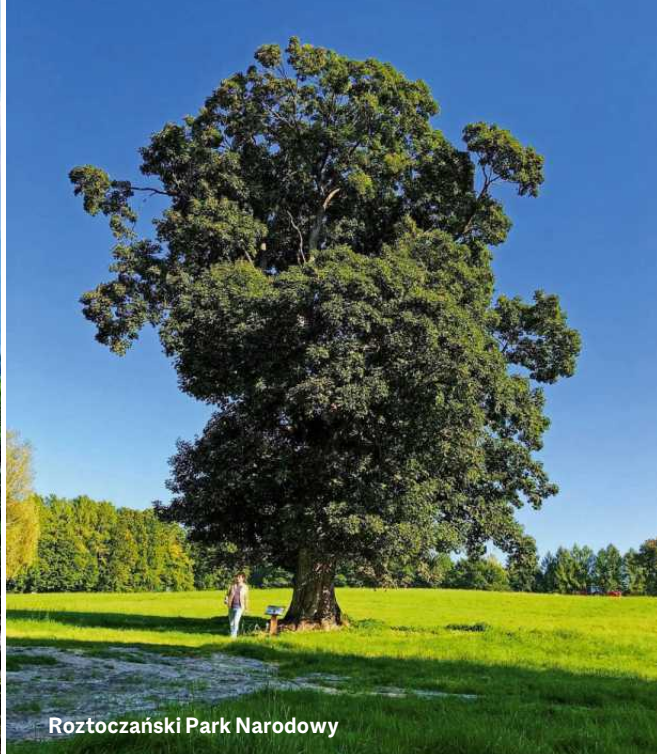
Dlaczego?

Jest wiele powodów. Złe ustawodawstwo, czyli to, że gmina, powiat lub województwo mogą taki plan zawetować. Jeśli jesteś politykiem w województwie, jest jeszcze szansa, że to przepchniesz. W powiecie już cię znają, a w gminie zawsze znajdzie się, ktoś, kto powie: „Sławek, ale wiesz co? My nie chcemy tego parku i nie wybierzemy cię na wójta w kolejnych wyborach”. Więc on postanowi, że jednak nie będzie tego parku, bo ludzie chcą tam zbierać grzyby i jagody. I to jest dla nich realny problem, bo do tej pory było dobrze i „komu to przeszkadzało”.

Nie robi się też prognoz, jak utworzenie parku wpłynie na życie ludzi mieszkających na danym terenie, czy przekwalifikowanie się z drwała na hotelarza prowadzącego agroturystykę się zwróci i kiedy to nastąpi. Nie ma na to planów, programów długofalowego wsparcia finansowego, żeby tego drwała bezpiecznie przekwalifikować. Brak też akcji informacyjnych i sensownych konsultacji społecznych. A do tego dochodzi lobby Lasów Państwowych. Temat jest bardzo skomplikowany.



Babogórski Park Narodowy



Rostoczański Park Narodowy



Słowiński Park Narodowy



Słowiński Park Narodowy

MICHAŁ SŁODOWY (4)

wany, złożony i wielowymiarowy, a finalnie wszystko rozbija się o pieniądze.

Czyli nic się w tej kwestii nie dzieje?

Dzieje się oddolnie. Gotowe rozwiązania leżą na tacy przygotowane przez przyrodników, naukowców i społeczników, ale nie ma woli politycznej. Jest wręcz systemowy opór, co potwierdza chociażby ostatnia likwidacja blokady wycinki w miejscu postulowanego Turnickiego Parku Narodowego czy specustawa odrzańska. Doszliśmy do sytuacji, kiedy już nie oczekujemy, że władza ma zacząć coś chronić, wystarczy, że przestanie szkodzić.

Terenów, na których można utworzyć nowy park narodowy, nie brakuje?

Ostatnio gorącym tematem jest raport fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze, w którym przedstawiono listę kolejnych 25 miejsc, gdzie można parki powołać. Już teraz można te miejsca zwiedzać i wyobrazić sobie, jak super byłoby, gdyby powstał tam park. Takich miejsc nie brakuje, ale myślenie, że potrzebujemy wyjątkowo cennej lokalizacji, by objąć ją taką formą ochrony, to archaizm. Zwierzęta szturmujące miasta w czasie lockdownu to najlepszy przykład, że jeżeli przyrodzie da się miejsce, to ona sobie świetnie poradzi.

Czy katalizatorem powstania nowych parków może być strategia Unii Europejskiej na rzecz bioróżnorodności 2030?

Na pewno może przyspieszyć działania, ale tylko jeśli będzie u nas taka wola polityczna. Za tym planem, co jest dobre, idą nie tylko nakazy, ale też pieniądze. Chodzi w nim o to, by wyznaczyć 10 proc. terenów Unii Europejskiej – łądów i mórz – na obszary objęte ochroną ścisłą. Każdy kraj miałby wydzielić swój procent, w zależności od walorów przyrodniczych. Ostatnio Parlament Europejski przegłosował część tej strategii, czyli prawo o odbudowie zasobów przyrodniczych (Nature Restoration Law), ale wiele osób uważa, że unijni politycy poszli na zbyt duże kompromisy i zaprzepaszczona została szansa na realne zmiany.

Starasz się bardziej promować parki, które odwiedza mniej osób?

Zdecydowanie, choć jest to trudne. W ogóle promowanie miejsc chronionych z zasady jest niekorzystne, bo im mniej ludzi, tym lepiej. Ale kiedy pozna się tę różnorodność, zyskuje się kompletnie inny osąd tego, czym jest polska przyroda, i myślę, że za tym wzrostem świadomości rośnie w ludziach potrzeba jej ochrony. Dlatego ważne, żeby korzystać z tych atrakcji rozsądnie, odpuścić sobie np. oglądanie krokusów w najbardziej oblegany weekend.

Na jakie niewłaściwe zachowania w parkach zwracasz uwagę?

Zrobiłem kiedyś zdjęcie: szeroka polana i szlak biegnący wąskimi kamiennymi schodkami. Widać na nim trzy osoby i każda idzie poza szlakiem, a nie musiały się przepychać, żeby nim iść. Mam wrażenie, że dużo osób w ogóle nie ma takiej wiedzy, bo nikt im tego nigdy nie powiedział. Idziemy w góry za tymi, co idą przed nami. Szczerze przyznam, że ja dopiero po wizycie w bułgarskich parkach zobaczyłem, jak wygląda niezniszczony szlak.

Nagrałem o tym chodzeniu poza szlakiem film na TikToka, a ludzie w komentarzach pytają, czy nie mam większych problemów w życiu. Ufam, że mimo wszystko coś w moich obserwacjach zostanie i jednak przekażą tę wiedzę dalej.

Jakich jeszcze zasad nie trzymają się Polacy na terenach chronionych?

Sprawa najbardziej kontrowersyjna to psy. W górskich parkach jedynie w Karkonoszach mogą wejść na szlak, ale muszą być na smyczy. Te przepisy nie zawsze są respektowane, bo albo „piesek jest niegroźny”, albo to „wina parku, że nie egzekwuje zakazu”. Sam uwielbiam chodzić ze swoimi psami, ale jestem za całkowitym zakazem, bo to jednak tylko 1 proc. kraju i powinno być obwarowane restrykcjami - dla przykładu i podkreślenia, że to wyjątkowe miejsce.

Jakie jeszcze zachowania ludzi w parkach cię denerwują?

Jak ktoś wchodzi w miejsca niedozwolone, a gdy zwraca mu się uwagę, to mówi, że park jest narodowy, a on jest częścią narodu, więc może tu być. Kultura fotografii „bezbarierkowej” ma się u nas świetnie. Często nam się wydaje, że ta cenna przyroda jest gdzieś dalej, a ona jest tuż pod naszymi stopami. Snobujemy się zdjęciami z barierką!

Reagujesz na takie sytuacje?

Tak, ale lepiej działa bycie opanowanym i powiedzenie czegoś na spokojnie. Historycznie nie lubimy nakazów i zakazów, bo robimy dokładnie odwrotnie. Ale są gorsze rzeczy niż wychodzenie za barierki czy palenie papierosów pod kapliczką św. Franciszka w Świętokrzyskim PN. Zdarzały mi się pyskówki z quadziarzami w Gorcach czy

spotkanie myśliwego po zmroku w jednym z białowieskich rezerwatów. Dlatego szalenie ważna jest edukacja i to jest moje zadanie.

Czego nauczyły cię wyjazdy do parków?

Pokory. Tego, że muszę być przygotowany na wszystko, ale nie mogę mieć wielkich oczekiwań, że wszystko uda mi się zobaczyć. Nauczyłem się też akceptować momenty, kiedy mi się po prostu nie chce. Wchodzę na jakiś szczyt i myślę: po co ja to w ogóle robię? Cały czas wydaje mi się, że wyjazd do góry czy do lasu to odpoczynek, a dla mnie to jednak bardziej robota niż rekreacja. Moja dziewczyna od dawna sugeruje, żeby w końcu jechać gdzieś, gdzie nie trzeba będzie cały czas „gonić sarny”, ale jakoś średnio to wychodzi.

Oprócz tego czym jeszcze jest dla ciebie obcowanie z naturą?

Pozwala mi „wylączyć głowę”. Naukowo udowodniono, że krajobrazy i szerokie perspektywy działają na nas uspokajająco, życie blisko natury redukuje stres, a obserwacja ptaków to każdorazowo poczucie takiej satysfakcji jak przy mniej więcej dziesięcioprocentowej podwyżce. Czyli praktycznie w wymiarze własnej satysfakcji zarabiasz nieograniczone pieniądze. To jest niesamowite. Najbardziej widzę to, kiedy nagrywam relację z danego miejsca i po dwóch godzinach mam odprężoną twarz, znika napięcie. Trudno to porównać z czymkolwiek, może oprócz grania koncertów.

A wobec odbiorców masz jakieś oczekiwania?

Chciałbym, żeby z tego, jak prowadzę profil, płynął komunikat: jeżeli chcesz, aby przyroda była w Polsce chroniona, twój udział nie może kończyć się na tym, że oglądasz Instagrama o parkach narodowych. Jeżeli ja jestem influencerem, ty jako osoba, która chce zmiany, też musisz coś zrobić, musisz nim być u siebie. Czyli na przykład odezwać się przy rodzinnym stole, poruszać te tematy w rozmowach.

Dlaczego warto odwiedzić wszystkie polskie parki narodowe?

Jeśli podejmujesz wyzwanie, by pojechać do każdego z obecnych parków, to automatycznie o wiele bardziej koncentrujesz się na przyrodzie, a przy okazji poznajesz całą Polskę. Ja z zespołem zjeżdżałem cały kraj, ale niewiele jest zawodów, które na to pozwalają. To, co jest koło Międzyzdrojów, ma zupełnie inny klimat niż to, co w Beskidzie Niskim albo nad Wigrami. To są truizmy, bo niby wiadomo, że polska przyroda jest taka zróżnicowana, a nasz kraj wspaniały i piękny, ale większość z nas nigdy tego nie doświadczy. Również przez utarte schematy. Bo jak rodzice zawieźli cię do Dźwirzyna na wakacje, to ty później ze swoimi dziećmi też tam jeździsz i twoje dzieci robią to samo. Z jednej strony to piękna tradycja, ale warto się z tego wyłamać od czasu do czasu. Na początku zachwycamy się tą różnorodnością, ale z czasem dostrzegamy podobieństwa między tymi miejscami i to już jest superzabawa. Polecam!

Jesteś w trakcie trasy pożegnalnej KAMP! Jak na twoją działalność wpłynie koniec zespołu?

Do tej pory projekt nie był moim głównym zajęciem. Jak w zespole pojawiały się trudniejsze sprawy, musiałem przekierować uwagę tam. Dla mnie koniec KAMP! miał różne etapy: od ogromnej ulgi, przez lekką panikę, po pewność, że wszystko będzie super, i ekscytację tym, że zaczyna się moje nowe życie, którego tak naprawdę od dawna pragnąłem. Wiedziałem, że pewne rzeczy w KAMP! się pokończyły, a my nie mamy pomysłu na to, jak pociągnąć to tak, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Udało się dojść do tej decyzji w zgodzie?

Po raz pierwszy od lat mieliśmy w końcu wspólny cel, czyli zamknięcie zespołu. To rozładowało atmosferę. Zaczęliśmy gadać o rzeczach, które długo leżały nieprzedyskutowane. Zrobiło to dobrze nam, naszej przyjaźni, relacjom. Dla wszystkich ta decyzja jest dobra, każdy z nas widzi to jako nowe otwarcie. Super, że możesz, mając 40 lat, rozpocząć życie na nowo i mieć na to fajny plan. ♦

OGŁOSZENIA

ORGANIZATORZY: OLSZTYN green FESTIVAL na Wigimii i Mazurach 11-12-13 sierpnia 2023		WSPÓLORGANIZATOR: AGORA wyboreza.pl		PARTNER GŁÓWNY: OLSZTYN		PARTNER STRATEGICZNY: WOLĘTA MAZURY		PARTNER STRATEGICZNY: NAŁ NAŁĘCZOWIANKA		PARTNER STRATEGICZNY: PERŁA		PARTNER STRATEGICZNY: dobra energia		PARTNER TERENU: OSIR		PARTNER MERYTORYCZNY: ZO'KS organizmy.wyborcza.pl	
PARTNERZY: buono		MICHELIN		instax FUJIFILM		GARNIGOR		Alcon		TYMBARK		K		NuLi			
MPEC		budimex		zok		AUTO		GALERIA SARNIENSKA		inka		COOPER		ALGAR			
PATRONI MEDIALNI: wyboreza.pl		ZET		ams		HELIOS		WP		Rytm.pl		HIRO		helios media		CGM	

NA STAŁE W LAZIENCE

O polskiej marce ekokosmetyków w kostce Soap for Globe pisaliśmy nie raz. Jest nowy powód. Powstały kostki myjące do twarzy oraz do higieny intymnej. Superłagodne, oczyszczają skórę skutecznie, ale delikatnie, nie zakłócając jej naturalnego mikrobiomu. Nie zawierają drażniących SLS i SLES, mają pH neutralne dla skóry (1 szt./39 zł, soapforglobe.com).



BEN I ANNA

Mają imponujący skład i fajny wygląd. Naturalne dezodoranty Ben & Anna hamują na skórze rozwój bakterii, które są winne nieprzyjemnemu zapachowi. Zawierają olej kokosowy i są delikatnie oczyszczoną. Jeśli są zbyt miękkie, włóż je do lodówki. Odświeżający Persian Lime w sztyfcie (40 g / 35 zł).

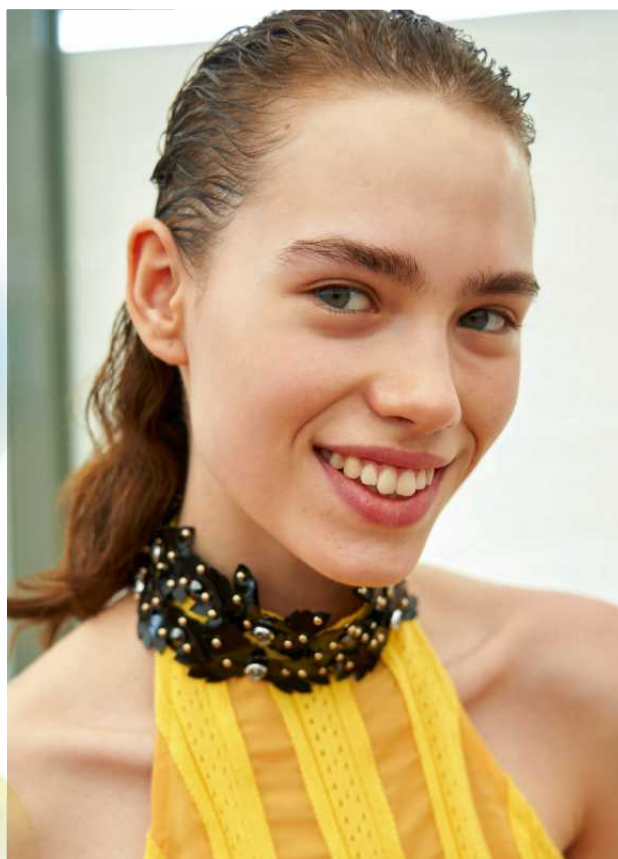


MUS Z JABŁEK

Czy wiecie, co można zrobić z resztkami jabłek? Wykorzysta je w odżywczych kosmetykach. Tak zrobiła marka Yves Rocher. Powstała organiczna linia Famille Bio z certyfikatem ECOCERT, na bazie ekologicznych jabłek z Bretanii. Balsam do twarzy, ciała i włosów zawiera m.in. olej z pestek jabłek. Bardzo mocno nawilża (100 ml / 89 zł).

OSTRA PREMIERA

„Golenie to wybór – podkreśla Kaja Rybicka, współzałożycielka marki Your Kaya. – Nasze hasło »Hair? (Don't) care« idealnie to podkreśla”. Dla chętnych powstała więc maszynka wielorazowa do golenia włosów na ciele. Ogolimy nią nogi, pachy, ale też wzgórek łonowy, wargi sromowe zewnętrzne, skalp czy meszek na twarzy. Maszynkę promuje Klaudia Zajac (@claudiazajac), która znana jest z treści ciałaopozytywnych na IG. Jednorazowy zakup maszynki – 54,90 zł, taniej w subskrypcji.



PRZEJRZYSTY SKŁAD

Znam markę Clean Reserve z kolekcji naturalnych perfum. W tym roku premierę miały ich odżywcze produkty pielęgnacyjne zawierające mieszankę składników roślinnych ze zrównoważonych źródeł i silnych składników aktywnych, które nawilżają, równoważą skórę i przywracają jej zdrowy, promienny wygląd. Stworzone zostały do wszystkich rodzajów skóry. Są bezzapachowe, w opakowaniach nadających się do recyklingu. Wegańskie i certyfikowane przez Leaping Bunny & PETA. Krem kojąco-nawilżający zawiera olej buriti, ekstrakt z nasion czarnej borówki, aloes, olej z awokado (50 ml / 119 zł, doulglas.pl).



FIGA Z DYNIĄ

To, że skórę warto regularnie złuszczać, jest oczywistością. Pozbywając się zrogowaciałych komórek, oczyszczamy ujścia mieszków włosowych i zmniejszamy ryzyko powstania zaskórników. Enzymatyczny peeling mus Uzdrowisco zawiera enzymy z dyni i z figi, powstające w wyniku fermentacji odpadów spożywczych. Ich skuteczność porównywalna jest z działaniem kwasów (60 ml / 39 zł).



Art. 152 § 2 k.k. – do usunięcia

MONIKA
PŁATEK



A gdyby to był przerdzewiały drut lub metalowy wieszak, a nie pigułka, bezpieczna, zalecana przy wczesnej ciąży przez Międzynarodową Organizację Zdrowia (WHO), czy wtedy reakcja też byłaby taka? Czy sąd, policja i prokurator dopytywaliby: skąd pani ma ten drut, ten wieszak? Czy kogoś by obchodziło, że TO dopiero jest groźne, niebezpieczne? Czy może wówczas byłoby, że no cóż, sama chciała, to ma.

Spotkaliśmy się na międzynarodowym kongresie. Miałam wystąpienie plenarne. Wybitny profesor, mądry karnista, pochwalił mój wykład. Miał nadzieję na dłuższą później rozmowę. Przeprosiłam. Nie mogłam zostać na bankiecie. Kolidował z czasem obiecany córce i wnuczce. To wyznanie sprawiło, że nagle opadły z nas tytuły i przeszliśmy na tematy nie tylko uniwersyteckie. Zrobiło się na tyle swojsko, że odważyłam się zapytać wprost: „Panie profesorze, o co tak naprawdę wam chodziło, gdy tworzyliście artykuł 152 § 2 k.k.?”

Artykuł 152 § 2 k.k. uznaje za przestępstwo pomoc kobiecie ciężarnej w przerwaniu ciąży niezgodnie z przepisami dopuszczającymi aborcję. Jest wyjątkiem. Kodeks z zasady kryminalizuje pomocnictwo do czynów zakazanych. Kobieta, która usuwa własną ciążę, nie popełnia przestępstwa. Ma prawo to zrobić. Co więc robi art. 152 § 2 k.k.? Stwarza sytuację opresji i realne zagrożenie dla bezpieczeństwa, zdrowia i życia kobiet. Podstępnie, pozaprawnie i absurdalnie odwraca porządek rzeczy. Śledczy czynią z kobiety podejrzaną o pomocnictwo do pomocnictwa. Czy do takiego kombinowania służy kodeks karny? Nie, ale ze sterującym art. 152 § 2 właśnie to czyni. Jest pułapką. Mówi: nie dam ci dostępu do bezpiecznych środków zalecanych przez WHO, ale przecież ci nie bronię, masz tu do wyboru przerdzewiały drut i metalowy wieszak.

No dobrze, art. 152 § 2 k.k. jest do bani, ale czy państwo ma prawo regulować kwestię płodności? Oczywiście, wystarczy respektować przy tym konstytucyjne wolności i prawa reprodukcyjne.

Już o tym mówiłam? No to powtórzmy. W 1993 roku w ustawie o planowaniu rodziny państwo zobowiązało się zapewnić nam świadome, wolne decyzje dotyczące naszej płodności. Dać dostęp do edukacji, informacji (także o aborcji), do in vitro, badań prenatalnych, antykoncepcji, także doraźnej, i do uregulowanej prawem aborcji. Czy się z tego wywiązuje? No, środki na męską potencję są. Tanie i dostępne także bez recepty. Prezerwatywy? Też. Nawet w różnych kolorach, rozmiarach i smakach. No i? To było by na tyle.

A co z kobietami? Przecież też płacą podatki. Co z ich autonomią, dostępem do ginekologów, badań prenatalnych, in vitro, informacji, nowoczesnej antykoncepcji, także doraźnej, do uznanych przez WHO środków poronnych? Czy wszystko, co obejmuje pakiet władzy dla kobiet, to kodeks karny, samotne i na własny koszt zesłanie do Czech lub przerdzewiały drut i metalowy wieszak?

Profesor i ja wiemy, że prawo karne jest subsydiarne. To znaczy: należy z niego korzystać w ostateczności i nie udawać, że jest super. Rzadko bowiem rozwiązuje problemy, częściej je sprowadza.

Ma przeciwdziałać zjawiskom negatywnym. Art. 152 § 2 k.k. je stwarza. Służy do wybiórczego nękania ludzi. Podwójnie szkodzi. Sprawia, że zamiast ścigać bandytów, służby finansowane z naszych podatków obsesyjnie i opresyjnie szukają medycznych pigułek. Te zaś powinny być po prostu dostępne w aptekach.

Kobieta, także zdrowa, ma prawo przerwać ciążę. Często jednak to decyzja, by ratować jej zdrowie i życie. Zabija brak decyzji i zwlekanie z jej wykonaniem. Zatrważające przykłady z Polski nie są, niestety, zaledwie teorią.

O co więc chodzi? Przywiązanie do tradycji prawa rzymskiego? Tam zakaz aborcji nie chronił płodu, ale interesy i wolę pater familias, ojca. Mógł zażądać lub się sprzeciwić. Do czasów pańszczyźnianych? Gdy chłopą i kobietę traktowano jak własność, na równi eksploatowano, odmawiano rozumu i dojrzałości? Świętość życia? Żart jakiś. Nie godzi się go przywoływać w kraju jawnej pogardy dla osób z niepełnosprawnością, dla ciężarnych na granicy polsko-białoruskiej i wobec dyskryminacji LGBT. Religia? Gdyby aborcja była udziałem tylko niewierzących, oznaczałoby to, że Polska od dawien dawna jest krajem laickiej większości.

Ten przepis szkodzi. Sejm może i powinien usunąć go z kodeksu karnego

„No więc o co chodziło, panie profesorze?” Profesor zawiesił na mnie wzrok. Lekko kiwając głową, stwierdził tylko: „Mh, mh”.

„Co mh, mh? – dopytywałam. – Co z ratio legis (prawnym uzasadnieniem) tego przepisu?” Coś musiało być albo w moim głosie, albo jednak w głowie profesora, bo powiedział: „No ma pani rację, to było głupie”.

Tę rozmowę prowadziliśmy po nieprawomocnym wyroku wobec Justyny Wydrzyńskiej i jeszcze nie znając sprawy Joanny z Krakowa. Rozmawialiśmy, gdy w szpitalu, w którym zwlekano z wykonaniem aborcji, umierała kolejna Polka. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że nękanie, rozbieranie do naga, zabieranie laptopa policja, zafiksowana na art. 152 § 2 k.k., nazwie standardem pomagania ludziom.

Art. 152 § 2 k.k., jak widać, jest nie tylko głupi. Ten przepis szkodzi. Sejm może i powinien usunąć go z kodeksu karnego. ♦

Monika Płatek – dr hab., prof. Uniwersytetu Warszawskiego, kierowniczka Zakładu Kryminologii w Instytucie Prawa Karnego na Wydziale Prawa i Administracji

ŚWIAT BEZ FILTRA Czy jest jeszcze możliwy?
ORINA KRAJEWSKA Komplement może być oceną
POLIAMORIA Monogamia nie jest dla każdego
PSYCHOLOGIA Gdy relacje psują wakacje



DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA